I 36.884

GAWĘDY
I RYMY ULOTNE

Wład. Syrokomli.

III.

GAWĘDY

Władysława Syrokomli.

III.

Własności Całego domu
Syrokomli

GAWĘD,

RYMÓW ULOTNYCH I PRZEKŁADÓW

Władysława Syrokomli

Poczet Trzeci.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1856.

(właściwie: 1855).

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002721928

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonéj liczby exemplarzy. Wilno, 24 Lutege 1855 roku.

Cenzor Paweł Kukolnik.

I 36.884

1952 D 454/86

PRZEGRYWKA DO CZYTELNIKÓW.

Znowu na siłach wzmocniony po trosze,
Kilka ulotnych kartek wam przynoszę;
Troskliwą ręką, w jedno miejsce garnę
Dawnych pamiątek zbieraniny marne,—
Bo lżéj na duszy, gdy z wami podzielę,
Moje marzenia, mój płacz i wesele.
A raczcie przyjąć za dobrą ofiarę,
Tych niedołężnych pogadanek parę,

Parę piosenek, parę pustych bredni;
Dzień uroczysty, dzień w życiu powszedni;
Bo się przywykło w każdéj życia chwili
Dzielić się z wami czytelnicy mili.

Nawet i wtedy, gdy życia mozoła
Nie daje dumkom by wykwitły z czoła,
Gdy oddech w piersiach był głazem zaparty,
Brać zwykłem obcych pieśnio-tworców karty,
I przestrajałem na piew już gotowy,
Z cudzych wyrazów, na dźwięk naszéj mowy.
A czyli własne, czym grał pieśni cudze,
Zawsze myśl była o waszéj przysłudze,
Gdziekolwiek dumka lub serce się miota,
Zawszem miał pamięć na ziarno żywota.

Bóg hojną ręką rozsypał je wszędzie,
Siewca tych ziaren bez trudu nabędzie;

Więc jeśli jakie nadarzą się plony,
Niech będzie za nie sam Bóg pochwalony!
A my niegodni pracownicy niwy,
Jeno prosimy o wasz wzgląd życzliwy,
O dobre serce, o braterskie słowo,
Byśmy nabrali odwagi nanowo.

Jest święty węzeł — co silnie skojarza
Serca słuchaczów i serce pieśniarza;
Spiewak, którego otoczy gromada,
Z taktów jéj serca swe pieśni układa,—
Słuchacze zasię z piosenką zrośnięci,
Z najpiérwszych tonów, domyślą się chęci,
I zbożne chęci przyjmując za skutek,
Dzielą z pieśniarzem wesele i smutek.
Silny tą spójnią z mojemi słuchacze,
Czy się zaśmieję, czy gorzko zapłaczę,
Czy jeno westchnę, uczuwam z pociechą
Jak odpowiada dusz życzliwych echo;—

A kiedy takie doznając roskosze,
Dziękczynne oko do niebios podnoszę;
Sama modlitwa z mych piersi wybucha:
„Błogosław Boże taki związek ducha!
„Błogosław Boże i zawsze jak ninie,
„Niech z niego korzyść społeczna wypłynie!"

Wł. Syrokomla.

D. 5 Sierpnia 1855.

Borejkowszczyzna.

1.

GRAJEK WIOSKOWY.

STANISŁAWOWI MONIUSZCE

poświęcam.

I.

Ubogi odzieżą, lecz myślą bogaty,
Siadł grajek wioskowy na przyźbie u chaty
I wierną skrzypicę wziął w ręce;
A w głowie snadź ważna toczy się narada,
Coś brząka, coś mruczy—bo w myśli układa
Strój nowy, ku nowéj piosence.

I błądzi spójrzeniem ku niebu, ku ziemi,
Nad polem zieloném, nad strzechy sielskiemi,
Spogląda ku lasom, ku rzeczce.
Wnuk przy nim trzyletni, ciekawy a żywy,
Znalazłszy we drwalni dwa szczepy łuczywy,
Grał niby na drugiéj skrzypeczce.

II.

Uśmiechnął się stary, podumał i milczy:
„Już tropisz do lasu, o synu ty wilczy!
„Poczekaj! nic z tego niebędzie.
„To brzydka zabawka! to gra nic do rzeczy!
„Rzuć chłopcze tę trzaskę: boć ręce skaleczy —
„Skrzypica—zaklęte narzędzie!
„Gdy raz ci do duszy przyrosną jéj tony,
„Już będziesz zgubiony, na zawsze zgubiony,
„Młodości i sił twoich szkoda.
„Snu tobie niebędzie, tém gorzéj im daléj,
„Gorączka pragnieniem twą duszę rozpali
„A gdzież tu na świecie ochłoda?

III.

„Weź inną zabawkę — ja krzyżyk ci zrobię,
„I będziesz po dworze przechadzać się sobie,
„Śpiewając *oremus* xiędzowski:
„Jak kiedyś zostaniesz rozumny i duży,
„To może ci dola życzliwa posłuży,
„Że będziesz plebanem téj wioski.
„Czy ludzkość żałobą, czy kwieciem pokryta,
„Wesele czy pogrzeb — xiądz brewiarz czyta,
„I cóż go zasmuci, rozrzewni?
„Czy piękny urodzaj na polach rolnika,
„Czy Pan Bóg pomorem i głodem dotyka,
„Plebani dziesięcin swych pewni.

IV.

„Lub baw' się w żołnierza — weź kij mój sękaty
„I hasaj dokoła stodoły i chaty,
„Jać szablę wystrugam z łuczywy;

„Gdy pójdziesz do wojska, ej będzie do twarzy:
„Twój mundur, twój kaszkiet od złota się żarzy,
„A rumak — kasztanek lub siwy!
„Szablica, ostroga błyszcząca ze stali,
„A wąsik runieje, a oko się pali,
„Dziewczęta ci z całéj lgną włości—
„W gospodzie, czy w domu, na każdéj zabawie,
„Ty jeden réj wiedziesz i głośno i żwawie,
„A każdy ci z chłopców zazdrości!

V.

„Cóż z liry za korzyść? ot marnie zaginie.
„Ubogi syn pieśni, w ubogiéj wioszczynie,
„Daremną zamęczy się pracą:
„Tu rzadkie obsiewki, dożynki, wesele,
„Tu chleba niewiele i zabaw niewiele,
„Niewiele grajkowi zapłacą."

—„Ej dziadku mój, dziadku! — odpowie mu wnuczę—
„Ot! ja cię dobrego sposobu nauczę:
„Rzuć wioskę gdzie żyją nędzarze;
„Weź skrzypkę i pytaj, gdzie ludzie bogaci,
„Tam każdy posłucha i hojnie zapłaci,
„I drogę do inszych pokaże.

VI.

„Ja kiedy wyrosnę, gdy skrzypkę mi kupią,
„Tak pójdę na świecie—to wcale nie głupio;
„Obaczysz jak mi się poszczęści."
—„O dziecię! — rzekł starzec— niebluźnij w obydzie!
„Niech raczéj z pieśniami zaniemieć ci przyjdzie,
„Niż o drzwi bogaczów tłuc pięści!
„Gdy nędzarz w téj wiosce wyprawia biesiadę,
„To serce grajkowi życzliwe i rade,
„Gospodarz najwyżéj go mieści,
„I grajka obsiądą, słuchają z rozkoszą,
„I czarkę najpierwszą ku niemu przynoszą —
„Tu pieśnia w pożytku i cześci.

VII.

„Na uczcie bogacza nieszukaj dusz bratnich;
„Ty będziesz tam gościem ostatnim z ostatnich,
„U progu ci chyba grać każą;
„Czy rzewne piosenki, czy święte graj hymny,
„Westchnienia niewzbudzisz: bo duch u nich zimny,
„Z szyderczą słuchają cię twarzą.
„A kiedy na uczcie zapieni się wino,
„Sto razy pieśniarza służalcy pominą,
„Nim puhar podadzą ci hardo.
„Gdy czasem bogacza napadnie szał pusty,
„On każe byś zagrał piosenkę rozpusty,
„I rzuci garść złota z pogardą!

VIII.

Tu starzec złagodniał, i wnuka pogłaska.
„Tak chłopcze... bądź grajkiem!... o Boże! twa łaska
„Niech zawsze na pomoc mu przyjdzie!

„Nim kiedyś mą skrzypkę powierzę ci w ręce,
„Przeżegnam ją naprzód, w kościele poświęcę,
„Byś pieśni niepodał k' ohydzie.
„Choć czasem chleb suchy pożywać się zdarzy,
„Bądź grajkiem poczciwych wioskowych nędzarzy,
„Jak ja sam przebyłem lat tyle."
Chłopczyna wysłuchał, co stary dziad gdera,
Podumał, zapłakał i oczki ociera,
I pobiegł uganiać motyle.

Wrzesień 1854. x)
Wilno.

---

x) W „Poezjach L.K." – 16 paźdz. 1854 Borejkowszyzna.

Drukowane w Gazecie Warszawskiej 1854 r. p. t.: „Dola grajka."

Na 1872 r. utwór ten nader pięknie przeło-
żył i ogłosił Mej. Skutkiem tego
między autorem a tłómaczem
zawiązała się rymowana kore-
spondencja, przerwana śmier-
Meja.
(1872).

2.

Kapral Terefera

I

KAPITAN SZERPETYNA.

Gawęda żołnierska.

I.

Ej żołnierka chleb to twardy!
A jak wspomnisz mimo chęci,
Jakbyś łyżkę zjadł musztardy,
Tak na oczach łza się kręci.
Boć to młodość—taka może
Jak dziś widzisz pan dobrodziéj?!

Niedopuszczaj, Panie Boże!
Gdzie się podział hart u młodzi!
Bladzi, wątli, ani siły,
Ani w sercu, ani w ręku...
Jeżu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

II.

Dziś u starca w sercu, w oku,
Jak widzicie, ognia dosyć,
A cóż we Dwónastym roku,
Gdy szabelkę przyszło nosić?
Patrz ten krzyżyk — toż go przecie
Wysłużyłem ciężką pracą:
A jeżeli słuchać chcecie,
To opowiem jak i za co?
Ej, to, panie, czasy były!
Głodu, chłodu, jęku, brzęku!
Jezu Chryste Pani miły,
Terefere tatuleńku!

III.

Z pod Smoleńska, nasza wiara
Żwawym marszem w odwrót kroczy;
Rzadko który miał suchara,
A gorzałki — ani w oczy!
Pod jakowymś tam folwarkiem
Dano spocząć nam nareszcie,
A kozacy tuż nad karkiem,
A mróz stopni ze trzydzieście!
Zapalono krzyż z mogiły,
Nuż się tłoczyć przy ogieńku!
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IV.

Ostąpiły z każdéj strony
Tłumy ludu jakby fale:
I Żmudziny i Gaskony
I Krakusy i Westfale.—

Ot i spłonął stosek drzewa;
Więc chróśniaki zbiera tłuszcza,
I przeklina, piosnki śpiewa,
I z fajeczki dym wypuszcza.
Kto chciał zasnąć, legł bez siły
Na tornistrze albo łęku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

V.

Legł i niewstał — chyba wstanie
Na dolinę Józefata!
Na kamrackie pożegnanie
Zmówim pacierz za kamrata,
Śnieg rozkopiem choć pałaszem,
I zasypiem oczy śmiałka!
Boć to, widzisz, w półku naszym,
Pacierz krzepił — jak gorzałka.

Insze półki niewierzyły,
Że jest przyszłość w Bożém ręku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VI.

Myśmy mieli kapitana,
Co nas jeszcze trzymał w wierze,
I bywało codzień z rana
Każe mówić trzy pacierze.
Co do postów: gdy golizna
Nolens-volens człowiek pości —
Kapitana czci starszyzna,
A kochają strzelcy prości.
Był to sobie dziad pochyły,
Mówił z cicha, pomaleńku...
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VII.

Choć potulna zda się mina,
Licho groźne i uparte;
Miał przeźwisko Szerpetyna:
Bo się, panie, rąbał *arte*!
Dla żołnierza pierś otworzy,
Grosz ostatni wydobędzie,
Po za frontem — człowiek Boży,
Ale szatan na komendzie!
Głos mu bucha, jak z baryły,
Wali płazem mimo jęku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

VIII.

Z pod Smoleńska, uważałem,
Że coś stary idzie chromo,
Czy raniony może strzałem,
Czy się znużył, niewiadomo:

Bo to szatan w nim się mieści!
Tak był twardy w swojej roli,
Choćby skonał od boleści,
Niedopytasz co go boli!
Przeskakuje śnieżne bryły,
Brnie przez śniegi z bronią w ręku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

IX.

Gdy ruszano z stanowiska
Stary krzyknął: „broń na ramie!"
Patrzę, tylko brwi naciska,
Chce grać zucha,—ale kłamie.
Sprawił wiarę do szeregu,
I sam naprzód w marsz ochoczy;
Ale widzę ślad na śniegu,
Że jegomość krwią się broczy;

Cóś się chwieje, jak napiły,
Cóś się kurczy, jakby w sęku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

X.

Dobył chustki, siadł na drodze,
I obwiązał chorą nogę;
Ja to widzę, więc podchodzę,
Myśląc, że coś dopomogę.
Lecz jak krzyknie stary gdera:
„Co się troszczyć cudzą raną!
„Do szeregu, Terefera!"
(Tak mię w półku nazywano)
Aż się oczy zaiskrzyły,
Aż mu pałasz skrzypnął w ręku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XI.

A w Imie Ojca i Syna,
Jakie licho złe i dumne!
Powstał z ziemi Szerpetyna
I nuż kulać przed kolumnę.
Choć cierpienia nieokaże,
Lecz to widzą wszyscy zdala;
Krwią oblały się bandaże,
A znużenie z nóg obala;
Starzec goni resztką siły,
Lecz niewyda z piersi jęku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XII.

Ot niewytrwał— jęknął szczerze,
Zachwiał się i padł jak długi!

Przyskoczyli doń żołnierze
Z dziesięć ramion na usługi;
Sam widocznie iść niemoże,
Chce go unieść oddział cały:
Bo furgony, żal się Boże,
Gdzieś w Smoleńsku pozostały.
Nosze z płaszczów się zrobiły
I uplotły z chróstów pęku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIII.

Lecz się stary jak wyźwierzy,
Rzekłbyś tygrys z jego miny:
„Cóż to? cały pułk żołnierzy,
„Ma się późnić z méj przyczyny?
„Precz odemnie! marsz do szyku!
„Rozkazuję to pod gardłem.
„Słuchaj, mości poruczniku!
„Podaj raport, że umarłem;

„Niekopajcie mnie mogiły,
„Niepotrzeba trąby brzęku!"
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIV.

Pan porucznik westchnął smutnie
I szeregi powiódł w pole.
Myślę sobie: choć łeb utnie,
Ja mu zginąć niepozwolę!
Więc zostałem — i nietchórzę,
I powiadam: „Kapitanie!
„To się za nic stać niemoże,
„Pan w tém polu niezostanie."
—„Cóż gdy kroczyć niemam siły!"
—„Ja poniosę pomaleńku."
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XV.

—„Precz mi z radą i pomocą,
„A nieprzywódź mię do złości:
„Mną się trudzić niéma poco,
„Ty masz swoje powinności.
„Uważałem, Terefere,
„W twym plutonie są rekruci,
„Dzierżą bagnet jak siekierę,
„Maszerują jakby skuci;
„Trzeba aby się rozwiły
„Władze w nogach, zręczność w ręku."
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVI.

„Jestem ranny — po krwi stracie
„Tak mi słabo!... skończę życie...
„Słuchaj, dobry mój kamracie,
„Jak do domu powrócicie,

„Wiesz zaścianek tam przy Niemnie,
„Kędy matka moja żyje,
„Schodź, pożegnaj ją odemnie,
„Oddaj krzyżyk z mojéj szyje;
„Opatrz domek mój pochyły
„I dwa ule przy okienku..."
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVII.

„W ładownicy cała nędza:
„Jest tu mały groszów worek,
„To mi zanieś gdzie do xiędza,
„Poproś dla mnie o paciorek!
„Matce powiedz, niech niepłacze:
„Bom niezginął jako podli;
„A do frontu zbierz rębacze,
„Niech się każdy z nich pomodli!
„Śpiesz, bo wojska już się skryły,
„Już niesłychać broni szczęku."

Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XVIII.

—„Dobrze! dobrze!— ja doń mówię —
„Niegadajmy o tém woléj;
„Jak da Pan Bóg czas i zdrowie,
„Wszystko pójdzie w swoją koléj.
„Teraz lepiéj, mojém zdaniem,
„Kapitana wziąść na plecy,
„Do szpitalu się dostaniem,
„Kędy leczą się kalecy.
„Tu by śniegi was zakryły,
„Tu byś skonał na tym pieńku."
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XIX.

Jak ofuknie się z hałasem
Jak zaiskrzy się, zapłonie:

„Patrz: kolumna już pod lasem!
„Twoje miejsce przy plutonie;
„Spiesz dopędzić towarzysze:
„Za zbiegostwo areszt, kula!"
Ja udając, że niesłyszę,
Sadzę na mój kark dziadula.
On się zwija z całéj siły,
Grozi, krzyczy na mém ręku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XX.

Myślę sobie: mniejsza o to,
Niech się złości, będę znosić!
Lecz z ciężarem brnąć piechotą,
W śniegowiskach trudno dosyć!
Człowiek spocznie sobie chwilę,
I marsz naprzód aż łeb potnie;
Do wieczora ze trzy mile
Przetrzepaliśmy samotnie.

Stary wparł się w grzbiet pochyły,
Ani słówka,... ani stęku!...
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXI.

Po za wojskiem w całéj drodze
Tu i owdzie ogień błyska;
Albo trupa gdzie znachodzę,
Albo ślad obozowiska.
Miałem w torbie dwa suchary,
To podróżny zapas cały;
Na popasie zjadł mój stary
I wychylił haust gorzały;
Gdy się płuca pokrzepiły
Zyskał humor pomaleńku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXII.

Już pod wieczór, widzę zdali
Jakieś wojsko ciągnie chmurą,
A konnica naprzód wali.
Szerpetyna rzekł ponuro:
„Widzisz, trutniu, co to czeka,
„Kto rozkazy poniewiera;
„To kozactwo... nas rozsieka...
„Marnie zginiesz, Terefera!
„Patrz, swawole co zrobiły,
„Byłbyś z braćmi, z bronią w ręku!"
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIII.

„Żal mi ciebie... dziatwy twojéj...
„Pan Bóg skarał cię wyraźnie!

„Lecz poczekaj... wszak to swoi...
„Ja ci zaraz sprawię łaźnię!"
Patrzę tedy... aż tu jedzie
Huf porządnie szykowany,
Zdala działa, a na przedzie
Mameluki i hułany;
Aż od śniegu lecą pyły,
Aż powietrze drga od brzęku!
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIV.

Ot na białéj, dzielnéj szkapce
Jakiś jeździec ku nam kroczy:
W szaréj kurtce, w nizkiéj czapce,
Co mu spada aż na oczy.
Patrzę pilno... i struchlałem...
„Broń prezentuj jak na wartę!"
Krzyknął kapitan z zapałem —
„To sam Cesarz Bonaparte!"

Szerpetyna jak odżyły
Na śnieg skoczył z moich ręku,
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXV.

To był Cesarz... nieinaczéj;
Wstrzymał konia, spójrzał groźno
I zapytał: „Co to znaczy?
„Gdzie wasz oddział? co tak późno?"
Myślę sobie: czym półgłówek,
Żeby tracić zaraz serce?
(A francuzkich kilka słówek
Nauczyłem się w żołnierce).
Więc zdobywam się na siły
I powiadam bez zająku:
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVI.

Od początku, z tęgą miną
Całą sprawę mu wywodzę:
Co się stało z Szerpetyną,
Jak raniony padł na drodze,
Jakem kwapił się z posługą
By go unieść do szpitalu;
Cesarz słuchał— słuchał długo,
I rzekł: „Brawo, mój kapralu!"
Aż mu oczy zaiskrzyły
Jakimś ogniem pełnym wdzięku;—
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVII.

Potém spytał Szerpetyny,
Jak się zowę, jak prowadzę?

I mój Kapitan jedyny
Dał świadectwo méj odwadze.
Już się znaczno, że niedąsa,
W rozrzewnieniu pozbył złości,
Jednak mruknął cóś z pod wąsa
O wojskowéj niekarności,
Lecz się usta nieruszyły
Niewydały głośno dzwięku;
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXVIII.

Do swych piersi Cesarz sięga —
Dał mi krzyżyk... o rozkosze!
Patrzcie dzieci, to jest wstęga,
A na ciele sam krzyż noszę!
A jak umrze Terefera,
Weń ustrójcie go na mary,
Niechaj moją pierś ubiera,
Niech ozdabia mundur stary;

Poszanujcie u mogiły:
Bo był trzyman w dobrém ręku!
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXIX.

Więc potrząsłem hardo czołem
Aż mi w oczach promieniściéj:
„Wiwat Cesarz!" wykrzyknąłem!
Zawtórzyli mi gwardziści.
Nas zabrano na furgony,
Do szpitalów przyszli z rana.
Bóg niech będzie pochwalony,
Wyleczyli Kapitana!
Teraz, słyszę, człek zażyły,
Gospodarzy przy Niemenku —
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXX.

Cóż myślicie o tym gderze?
Gdy do zdrowia przyszedł wreszcie,
Za niekarność Tereferze
Trzy dni kazał być w areszcie.
„Cesarz—mówił—wynagradza:
„Bo poczciwym szedłeś torem:
„Ale, bratku, moja władza
„Naruszona twym uporem;
„Choć wyrwałeś mię z mogiły
„Niepopuszczę władzy w ręku!"
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

XXXI.

Słusznie mówił—bo Mospanie,
Czy wodzowie, czy to prości,

Kiedy rozkaz człek dostanie,
Pilnuj ściśle powinności!

* * *

Tak powiadał Terefera
Siedząc w progu niskiéj chaty;
I rękawem łzy ociera,
I wywija kij sękaty,
I łeb siwy, łeb pochyły,
Zadumany wsparł na ręku —
Jezu Chryste Panie miły,
Terefere tatuleńku!

1855. Borejkowicz (1872).

3.

KOJEC Z KURCZĘTY.

Świętéj pamięci mój prapradziadek,
Nigdy bywało gwarząc nieznudzi:
Bo wielu rzeczy sam bywał świadek,
A wiele rzéczy słyszał od ludzi;
A iż zachował stary obyczaj
Gęsto używać łacińskiéj frazy,

Toć się młodziku pilnie obliczaj,
Aby zrozumieć wszystkie wyrazy,
Niebyć zawstydzon w obliczu dziada
I odnieść korzyść z tego, co gada.

II.

Wolałbym dyszéć jego rozmową,
Niż z mądréj xiążki brać zbudowanie:
Bo słowo w xiążce — to tylko słowo,
A słowo w uściech — to czyn, mospanie!
Pięknie, kto żywot czynu przeżywszy,
Zgrzybiałe lata gawędką słodzi,
I wiek swój młódszy, żywot szczęśliwszy
Rozpamiętywa na korzyść młodzi.
Raz coś o duchu świętéj ofiary,
Taką powiastkę mówił mi stary.

III.

Kiedy to w Polsce Niemcy i Piasty
Spieszyli zająć tron po Sobieskim,

Wiodł Leszczyńskiego, Karol dwunasty,
Gorąco było w xięztwie Litewskiém.
Każdy dwór w gruzach, każda wieś pusta
Bo rabowali cudzy i nasi,
Ci stronę Szweda, drudzy Augusta,
A wszystkich razem Szwedzi i Sasi.
Nasz stary, co się różnie obraca,
Służył rycersko w chorągwi Paca.

IV.

Raz coś hussarze i petyhorce
Z noclegowiska rankiem ruszyli.
Wtem postrzegamy Szwedzkie proporce
Nie daléj może jak o pół mili.
Pan Regimentarz i Chorągiewni
Krzyknęli szable mieć w gotowości,
A żeśmy liczby wrogów niepewni
Kazano zwolna iść przeciw gości.

Spięte rumaki rwą się ochoczo
Strzygą uszami i zwolna kroczą.

V.

A że rycerstwu bój nie nowina,
Więc się niezlękli Szweda widoku:
Jeden strzemiona mocniéj podpina,
Drugi umacnia kopiję w toku,
Inszy probuje ostrza brzeszczota,
A inszy śpiewa, a inszy gwarzy —
Jakoś przed bojem żywsza ochota:
To już obyczaj naszych hussarzy.
Kto mocen duchem, krzepi się w wierze,
A kto lękliwy mówi pacierze.

VI.

Tak nieprzystępni dziecinnéj trwodze,
Ruszamy dziarskim a wolnym kłusem;

A tuż, pamiętam, przy saméj drodze
Stała figura z Panem Jezusem,
A od figury szła drożka w lewo
Gdzieś do zaścianku pomiędzy zboże. —
Tam... jakiś jeździec skrył się za drzewo,
Trędzlą rumaka spina jak może;
Lecz rumak wojsko widząc z oddali
Prosto w chorągiew z kopyta pali.

VII.

Szwed... nie Szwed zda się... gdyby to z błota
I nie tak blizko od znaku krzyża,
To się przeżegnać brała ochota,
Sądząc że jakieś widmo się zbliża.
Jeździec bez broni, w długiéj czamarce,
Porozpinany, wiatrem wydęty,
Na chudym koniu wyprawia harce,
A w rękach dzierży kojec z kurczęty;

Co nas w domysłach bardziéj mitręży,
To, że na głowie miał biret xięży.

VIII.

A rumak sadzi przez rowy, miedze,
Zrównał się z wójskiem i w szereg stawa.
Co o tak dziwnym trzymać koledze?
Zkąd się tu wzięła taka postawa?
„Xiądz!! prze Bóg żywy!! co się to znaczy?
„Czego tu szuka?" — mówią pancerni.
A biedny jeździec woła w rozpaczy:
„Ratujcie, ludzie! och, prawowierni!
„Konisko niegdyś służył wójskowo,
„Ciągnie mię w szereg nałożyć głową!"

IX.

„Jam xiądz wikary... patrzcie waszmoscie:
„Wracam z kolędy ot na téj szkapie.

„Konisko słyszał trąbkę na moście,
„Więc jak zawierzgnie, a jak zachrapie!
„A jak poleci, a jak poniesie!
„Aż tu mię zaniósł szalonym torem!
„Ja chciałem sobie schronić się w lesie,
„Lecz cóż poradzisz z końskim uporem?
„Ja walczyć niechcę, dobrzy rycerze,
„Ja z całym światem trzymam przymierze.

X.

„Wstrzymajcie konia, co się tak kręci,
„Ja w las ucieknę!"—wołał xiężyna.
A byli w wójsku i Dyssydenci,
Więc jaki taki śmiać się zaczyna,
Wtórzą mu drudzy, choć to niepora,
Bo Szwed nad karkiem i bić się każą;
Ale zjawisko jakby upiora
I widok xiędza z wybladłą twarzą,
W całéj chorągwi sprawił śmiech pusty,
Jakby dyalog grano w zapusty.

XI.

A xięża szkapka stara i chuda
Swe stare dzieje, wspominać pocznie,
Idzie w szeregu, wyrabia cuda,
A rży radośnie, a pląsa skocznie;
Jakby się dziwi, jakie to szczęście
Stare jéj kości k' wójsku przywiodło.
Xiądz stracił cugle, zacisnął pięście,
Tak się oburącz trzymał za siodło,
Kojec z kurczęty rzucił na stronę
Szeptając psalmy i antyfonę.

XII.

W tém dano ognia—huknęło w ciszy,
I Szwedzka kulka między nas gwiźnie,
I Petyhorskich dwóch towarzyszy
Poległo trupem gwoli ojczyźnie.

Zagrała bitwa, bitwa nielada!
Wróg niefolgował w strzelaniu gęstém;
Niejeden hussarz na ziemię pada,
Niejedna zbroja łamie się z chrzęstem;
Póki na ostrze gonić niepoczną
Snadź poniesiemy stratę widoczną.

XIII.

W dymie, kurzawie jam szukał xiędza,
Mówiąc do swoich: „My go osłonim."
Tylko, że kula nic nieoszczędza,
Albo ze strachu może już po nim.
W tém znowu Szwedzka kula zaśwista
I ktoś raniony z boleści jęknie —
Patrzę: u xiędza twarz promienista
W oczach tak bozko, tak było pięknie
Zdaje się światłość biła mu z czoła,
Gdy uroczystym głosem zawoła:

XIV.

„Tu moje miejsce! — dzięki Ci, Panie!
„Żeś mi ukazał żniwo posługi!"
Rzekł — i odważnie a niespodzianie
Z siodła na ziemię skoczył jak długi;
Ukląkł przy rannym w piersi rajtarze,
Przeżegnał głowę i ucho schyla,
I grzechy życia wyznać mu każe,
I na wieczności drogę posila.
Krwawo z rycerstwem biją się Szwedzi,
A xiądz wśród bitwy słucha spowiedzi.

XV.

Wśród szczęku mieczów i świstu kuli
Chodził w szeregach w pełnéj otusze,
Ranionych mężów w ramiona tuli,
A konających poleca dusze;
A choć mu wystrzał nad głową palnie,

Słowa nieprzerwie, niezmruży oka,
Pełniąc swój urząd sakramentalnie
Czuł nad swą głową tarczę z wysoka,
A tyle męztwa, co w jego twarzy,
Może się nigdy widzieć niezdarzy.

XVI.

Skończono bitwę — Szwedów odparli,
Noc się już ciemni, zorza promieni:
Na bojowisku tylko umarli,
Tylko zostali ciężko ranieni.
Na krwawéj ziemi klęcząc wikary
Kończył spowiadać rycerstwo ranne;
A na uboczy koń jego stary
Ogryzał polny chwast i dziewannę,
Czekając pilno wedle namiotów
Aż pan do drogi niebędzie gotów.

XVII.

Rozbito obóz — kipi biesiada,
Piją i pieją hussarze młodzi;
A xiądz wikary grzebie, spowiada,
Odśpiewał psalmy i już odchodzi;
Próżno na ucztę proszą wodzowie,
On się wymówił w pokorze świętéj;
Jakże był wesół, kiedy w parowie
Zdołał odszukać kojec z kurczęty!
Na staréj szkapie odjechał kłusem
Wedle figury z Panem Jezusem.

4.

FRAGMENT

z powieści z czasów Piastowskich p. t. Ogrodzieniec.

I.

Przy staroświeckim gęślowym rozgwarze
Wyśpiewam powieść z oddalonéj chwili —
Na toż na świecie wezwani gęślarze
By dzieje ojców potomkom prawili.
Kronika szkielet przeszłości ukaże,
Pieśń zmartwych wskrzesza gdy trumnę uchyli...

II.

„Cóż nam, spytacie, z owemi xiążęty,
Co siedém wieków jak próchnieją w grobie?
Pargaminowy, na klamry zamknięty
Wolumen dziejów, niech spoczywa sobie.
Szanując przodków relikwiarz święty,
Oczy ku przyszłéj wytężamy dobie,
Cóż mamy cenić, zapaśnicy młodzi,
Wczorajszy zachód? czy jutrznię co wschodzi?"

III.

Och! niebluźnijcie, a uchylcie głowy!
Bo z piersi ojców i na ich kurhanie
Rośnie kłos żytni i konar dębowy,
Chleb i osłona i czoła ubranie;
Tu w szumie liści tajemnémi słowy
Szepcą ojcowie wnukom przykazanie,

Tu przeszłość siwa, zakopcona, śniada
Młodéj przyszłości rzewnie się spowiada.

IV.

Czerwona cegła lub piaskowiec szary,
Strzaskana baszta, lub ściana w ruinie
To życia ojców zagrobowe mary,
Tu były twierdze, tu były świątynie...
Dziś te wieżyce i ciemne pieczary
Jękliwy puhacz zamieszkał jedynie,
A nikt z prawnuków wsłuchać się nieraczy
W jęk tajemniczy piosenki puhaczy.

V.

W dębowych deskach, foliant zbutwiały,
Uszedł przed czasu zagładą zdradziecką;
W blade zygzaki pokreślony cały,
Trudno wyczytać rękę staroświecką —

Ztąd dusza ojców do dziatwy skarlałéj
Zdaje się wołać: „Bohaterskie dziecko!
„Przyjdź tutaj zgłębić minione koleje,
„Pogwarzyć z duchem, co z téj karty wieje....”

1857. Zakrzewo

II.

RYMY ULOTNE I OKOLICZNOŚCIOWE.

Wyznajemy że nie bez strachu dajemy na widok publiczny kilka tych lekkich, okolicznościowych, poufałych wierszyków.—Chcieliśmy tém ogłoszeniem, dla siebie uwiecznić pamiątkę miłych dla serca relacyi, jakieśmy mieli ze znanémi w świecie Ludźmi i razem zabezpieczyć te wierszyki od przekształcania jakiemu ulegały krążąc po rękach wnet po swém napisaniu,—cheieliśmy czytelnikom sprawić chwilkę wesołą — bo to wszystko są dzieci wesołych, szczęśliwych a tak rzadkich chwil życia.

1.

DO IGNACEGO CHODŹKI.

przesyłając na chów zimowy konie, do fortuny Pana M. K. autora znanych Gawęd z Ambrożewiczem.

Gdy pan Mulski (*) znudziwszy Litewskiémi syny,
Odjeżdżał hajdamaczyć w stepy Ukrainy,
Pomiędzy dzikie jary, czahary, burzany—
Zostawił skarb na Litwie, och! skarb nieprzebrany,
Skarb, który Pan zaledwie swym wybrańcom nada,
Thesaurum super aurum—dobrego sąsiada; —

(*) Muła nazwisko majątku Pana Michała Kątkowskiego.

I tak mówił — prawicę podając mu czułą:
„Bądź stróżem mych penatów, a czuwaj nad Mułą.
„Na Ciebie moję władzę przelewam najszczerzéj.
„Kto jeno w imie moje czołem ci uderzy,
„Spełniaj wszystkie żądania, jakie słusznie rości,
„Hetmań z mego ramienia w mojéj posiadłości."
Tak mówiąc ostateczne pożegnalne słowa,
Przyrzekł *oko* tytuniu przysłać z Berdyczowa,
I słowem w Palemońskiéj ziemicy nieznaném,
Mianował go najwyższym Mulskim atamanem.

Ten, co przedtém jednoczył już zaszczczytów wiele,
Którego cenią bracia — współobywatele,
Co sam służąc krajowi zaszczytnie a długo
Wyższą jeszcze u ziomków wsławił się zasługą,
Kiedy ująwszy pióro jak pędzel uroczy,
Szereg *Obrazów Litwy* stawił nam przed oczy,
Ten u którego w sercu święta prawość kwitnie,
Co przywykł wielkim trudom podołać zaszczytnie —
Temu sił nieprzeciąża, humoru niedraźni
Ni buńczuk attamański, ni prośba przyjaźni,

Nieobecnego druha zastępując świetnie,
Równie troskliw o Mułę, jak o swe Dziewietnie.
Lecz jak zwykle, kłopoty nierozdzielne z władzą,
I tutaj suplikanty spokoju niedadzą.
Ważne *sąsiada Muły* przerywając prace,
Oto natręt przybywa i do drzwi kołace,
A czołem uderzywszy, że przybył nie w porę,
Przekłada swoję prośbę *in eo tenore*:

Pan Mulski— jak świadoma o tém Miłość Wasza—
Do swojéj posiadłości, słyszę, mię zaprasza,
Bym, *lares et penates* spakowawszy razem,
Przybył z lutnią pobitą i chudym pegazem.
O! zaprawdę rozrzewnia jego przyjaźń czuła!
Ale tutaj mię niemoc do łóżka przykuła,
Pierś—kiedy właśnie tonów trudniejszych dochodzę,
Wyśpiewana, zachrzypła, dolega mi srodze,
Tu dręczą mię gorączki i boleśne kaszle,
Tu bezwzględny Hipokrat swych potomków naszle.
Tak więc przybyć do Muły niemając sposobu,
Posyłam darmozjadów do Mulskiego żłobu;

I oto przywiedziono przed wasze podwoje
Odstawną pegazicę i pegaziąt dwoje.

Gdy mię przyjął Apollo w czeladkę Parnaską
Z taką szczególnych względów oświadczył się łaską:
„Śpiewaj, a ja ci nadam wieszczów przywileje,
„Na twojej drodze kwiatki obficie posieję,
„I rozkażę strumykom brzęczeć z całéj siły,
„I rozkażę słowikom by pięknie nóciły;
„Aby ci przedmiot w oczy niewpadał znikomy,
„Niedam ci na dzierżawie ni ziarna ni słomy,
„Na twych łąkach byś serce rozrzewniał radośnie
„Niechaj brzęczą koniki a siano nierośnie;
„Dla twoich wieszczych myśli daruję świat cały;
„Pozwalam ci obrywać niebieskie migdały,
„A na ziemi, gdy na nią zestąpisz na chwilę,
„Możesz dopędzać wiatry i łapać motyle."

Tak przyjęty — zasiadłszy hardo na Parnasie,
Niedbam o ziemską szkapę, niech się trawką pasie.
A gdy trawkę na łące mróz zimy powarzy,
Niechaj idzie na łaskę lepszych gospodarzy.

Oto treść mojéj prośby— jakiż koniec w liście?
Jak tu się submitować pięknie, uroczyście?
Jakim uczcić affektem Mulskiego sąsiada?
Oto utnę poprostu jak mi serce gada:
Jam Litwin— a na całéj Litewskiéj przestrzeni
Któż Chodźki nieuwielbia? niekocha? nieceni?

1854.
Borejkowszczyzna.

2.

DO A. E. ODYŃCA,

przesyłając exemplarz Gawęd i Rymów ulotnych.

Mojéj liry młode tony
Niechaj Tobie poświecę,
O lirniku doświadczony
Na niejednéj piosence!

Powołańców swoich znamię
Bóg na czoło Twe wkłada:

Kto wtór śpiewał przy Adamie,
Mistrz być musi nielada!

Przyjmże, Mistrzu sztuki Bożéj,
Dar młodego lirnika; —
Świadom, jak się pieśnia tworzy,
Jak słuchaczów przenika,

Bądź mi sędzią, gdy zanócę,
Gdy mię pieśnia rozmarzy,
Czarodziejskich cudów w sztuce
Naucz młodych pieśniarzy.

1853.
Wilno.

3.

Do tegoż,

jako Redaktora Kuryera Wileńskiego, prosząc o umieszczenie w tymże Kuryerze awizacyi (r. 1849).

Zbliża się wiosna i święty Jerzy:
Niejeden słodkie zamiary tworzy,
Że posiadłości swoje rozszerzy,
Że kapitały swoje pomnoży, —
Że swojem złotém skusi hołysze,
I dusze bliźnich w wieczność zapisze.
Lecz to nie dla nas, panie Edwardzie!

My, nieodrodni synowie Feba,
Ziemską mamonę mamy w pogardzie,
Szerokich włości dla nas nietrzeba;
Byleby strzecha choć niskiej chaty,
Serce przy sercu, szelest strumyka,
Dobre cygarko, kufel herbaty —
To już aż nadto dla śmiertelnika!
Lecz mnie, niestety! na méj dzierżawie
Niedano zażyć takiej rozkoszy:
Piaszczysta niwa nierodzi prawie,
Znikomy pieniądz wnet się rozproszy,
Dziedzic majową ratówkę liczy,
W karczmie lichota, na wiosce bieda,
Nawet poważnie grozi leśniczy,
Że na kominek drzewa mi nieda.
Jakże, skłopotan, serce rozdzielę
Kochanym xiążkom i lubej dziatwie?
Jakże myślami w górę wystrzelę?
Jakże się z lutnią moją załatwię?
O! gdyby jedna szczupła sadziba!
Niemiałbym losom złorzeczyć po co!

Panie Edwardzie! Ty jeden chyba,
Moim zamiarom będziesz pomocą...

Promieniem wieszczów płonie twa głowa,
W piersiach Apollo złożył piosenkę,
A na dobitkę, muza dziejowa
Rylec z tablicą dała Ci w rękę.
Wzrok Twój zapuszczasz po całym globie,
Czy kędy wojna, czy gdzie przymierze,
Kto się narodził, kto spoczął w grobie,
Wszystko zamieszczasz w Twym *Kuryerze;*
Czy kto potwierdzon w jakim urzędzie,
Czy się stronnictwo w Izbach kojarzy,
Czy Bonaparte przegląd odbędzie,
Czy król Hiszpański z żoną się swarzy,
Rozprawy mędrców, wyścigi koni,
W Twojej gazecie jakby na dłoni.
Ale nietylko ważnemi dzieje
Twojego pisma karta bogata:
Oto na końcu papier szarzeje,
I tam już miejsce drobnostkom świata.

Czy ziomek z ziomkiem processa wiedzie,
Czy muzykalna gwiazda błysnęła,
I Zimmermana angielskie śledzie,
I u księgarza najnówsze dzieła,
Peruki, kwiaty, cukry, sardele,
Na jednéj karcie tłoczą się śmiele.
I cała Litwa przez pismo Twoje
Dwakroć na tydzień wieści odbierze, —
Jednego bawią Szwajcarskie boje,
Drugi smakuje w Szwajcarskim serze,
Tak pośrednictwem Twoich arkuszy,
Litwa ma pokarm ciału i duszy.

Otóż niech Twoja grzmiąca gazeta
Trzykroć ogłosi na świat szeroki:
Że pewien sobie chudy poeta
Chce kupić ziemi ze cztery włoki, —
Chce kupić strzechę, co go osłoni
Od skwarów lata i wichrów zimy,
Gdzieby spokojny, z lutnią we dłoni,
Mógł chwalić Boga i klecić rymy.

Niechby w widoku z okna mu były
Wioskowe strzechy, ciche mogiły,
Kędyby witać sielskie przechodnie,
Gdzieby zapłakać można wygodnie,
Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
Była mi rada, gdy ją odwiedzę,
Niech mię przyroda piękna otacza,
A dobry sąsiad mieszka o miedzę;
A gdybym słyszał brzękot kosarzy,
A gdybym widział jako żną zboże!!—
O takiéj schedzie wciąż mi się marzy,
Twém pośrednictwem kupię ją może.
Tam, tworząc mały i skromny światek,
Twojej Gazety uczczę *Dodatek*.
A na Kurjera (daj mu Bóg zdrowie),
Prenumeratę co rok odnowię.

Oto już marzę, marzę z pociechą,
Uroczą przyszłość widzę w oddali,
Oto pan Edward pod moją strzechą,
Na przywitanie — Chrystusa chwali...
Witaj mi, witaj gościu nad gości!

Dobrym uczynkiem rozwesel łono,
Patrz na mój dworek; co tu piękności!
Jak tu cienisto! jak tu zielono!
A jaki rzeźwy chłodek na lato!
Bo ja mam klony i dęby w lesie,
Tam Cię uraczę wiejską herbatą,
Tam będziem gwarzyć, co myśl przyniesie,
Będziemy śpiewać — słodka pociecho!
Z lasem na własność kupiłem echo,
Co za pańszczyznę, wtórować będzie
Wesołej pieśni albo gawędzie.....

1849. Załucze.

4.

AMBROŻEWICZ W ZAŁUCZU.

(do Michała Kątkowskiego, dziękując za przysłany exemplarz Gawęd Ambrożewicza).

Gość w domu, Pan Bóg w domu — tak pismo naucza.
Hola! cny Ambrożewicz przybył do Załucza!
Zdrów jak rydz, przebył prassy Zawadzkiego rącze,
Wyszedł strojny w błękitną z papieru opończę;
A choć w nowéj kapocie, choć głośny u świata,
Do drzwi starych znajomych poprostu kołata,
I prosi o gospodę...
Chodź, zacny kolego!
W sercu mojém dla ciebie i dla piewcy twego

Znajdzie się ciepły kątek — rozgość się i kwita!
Nawet Kisiel w Kotłówce tak szczerze nie wita
Gościa, co wali szóstką po Połockiéj drodze,
Jako ja zachwycony spotkać cię wychodzę (*).
Och! bo też moje serce znękane i chore,
A tyś przybył z pociechą jak raz w samą porę,
Rozterki z Apollinem, biedy gospodarcze,
Osłodzić tchem przyjaźni, — cóż tam słychać, starcze?
Czy zdrów gospodarz Muły i jak mu się wiedzie?
Powiadał mi Apollo dzisiaj na obiedzie,
Że wiersz Mulskiéj roboty, to na przykład młodzi:
I wybornie *gieltuje* i obficie rodzi.
Tam pegaz duchowego zawsze syt obroku;
Lecz jak *bilans zamknięcia* stał o nowym roku? (**)
Czy wiele było żyta? przedano czy świetnie?
Pewnoś w drodze staruszku odwiedzał Dziewietnie:
Czy zdrów zacny gospodarz? czy jest w swojej chacie?
Jaki *Obraz Litewski* dzisiaj na warstacie?

(*) O Kisielu i Kotłówce, ob. Gawędy z Ambrożewiczem — Wilno, u Zawadzkiego 1851.— Część II.

(**) Alluzya do wybornego dzieła P. M. Kątkowskiego p. t. Rachunek podwójny.— Wilno 1850.

To wiedzieć powinieneś — i ostrzegam Waści,
Że się od tych zapytań, jakby od napaści,
Nieodpędzisz na Litwie, — jak myślą ogarnę
Od Baltyckiego morza, het! tam aż po Czarne,
Jak się ludzie dowiedzą, żeś z tamtejszéj strony,
Pytaniami jak gradem będziesz zarzucony
O *Litewskich Obrazach* — Ot moja przestroga:
(Tylko nikomu niemów dla miłości BOGA!)
Czy wiesz, że pan Dziewietni (któż temu uwierzy?)
Czarownik... ma u siebie kruczek nietoperzy,
I piórko z Parnaskiego wyrwane skrzydłacza;
Kruczkiem Litwę i Polskę za serce zahacza,
A piórkiem, byle skinął — jak Litwa daleka,
Puszcza tuman uroku... oczaruje człeka.
Czy wierzysz? jego czary ja sam w sercu noszę.
Lecz cóż tam więcéj słychać? opowiadaj proszę
Czy z grodu Gedymina niemieliście wieści?
Czy zacny Staruszkiewicz z muzami się pieści? (*)

(*) A. E. O. alluzya do napisanego przezeń dramatu historycznego *Barbara Radziwiłłówna* — dotąd nieogłoszonego drukiem.

Jakie pieśni układa pod natchnioną miarę?
Czy już na piątym akcie umorzył Barbarę?
Czy jeszcze jakie nad nią czarodziejstwa stroi?
I czy prędko Zawadzki kurtę jéj wykroi
W kształcie twojéj kapoty?

Ej, Ambrożewiczu!
Czy niewidzisz na mojém radośném obliczu,
Jak na imie tych ludzi serce mi kołata?
Oni wielcy zasługą i chwałą u świata,
Mnie młodemu podali swą prawicę godną,
Przyciśnęli do piersi — dalibóg niechłodno!
Cóż za dziw, że ich kocham, że chcę wiedzieć pilnie:
Co się tam dzieje w Mule, w Dziewietni i Wilnie?
Gadaj mi! niech się do nich myśl moja przeniesie.
Czy wiész, że z twym Homerem, mądry Ulissesie,
Znamy się już oddawna, jak dwa łyse konie?
On mi niegdyś dał przykład jak grać na bardonie.
Wszak będziemy w Nieświéżu, gdy Pan Bóg da zdrowie,
Więc spytaj murów zamku, a cegła ci powie,
Jakiém tu grała echem, jak my w niebo lecim

W osiemsetnym czterdziestym, piérwszym, drugim,
Czy bywało Antoni (pokój jego duszy!), (trzecim:
Leczyć grzeszne wspomnienia do Słucka wyruszy,
Czy w żydowskiéj landarze na powrót się wlecze,
Czy, Mosanie, festynkę wyprawia Zarzecze— (*)
Zaraz na grzbiet pegaza w wybornym humorze
Siada przyszły twój śpiewak, Mości Dyrektorze, —
A jakże pegaz jego rymowicie tętni!
A jak się każdy wierszyk myślom upamiętni!
A jak rzeźwy, choć zmęczon *Podwójną rachubą!*
To powiadam aspanu, że aż patrzeć lubo,
Aż wszyscy wytężają zachwycone oko,
I rym krąży po rękach długo i szeroko.
Widząc z daleka one Parnasowe harce,
Ja młody wziąłem czasem akord na fujarce, —
A szukając dla pieśni wątku i osnowy,
Dałem szpryngla na Parnas, przez grzbiet Rajmundowy.
(Aspan musisz Rajmunda pamiętać z oblicza:
Był to mędrzec i wielki druh Krysztalewicza,

(*) Alluzye do okoliczności wspólnego w Nieświeżu po bytu z autorem Gawęd Ambrożewicza.

I pewno nieraz prawiąc banialuków krocie
W handelku Waszmościnym pożerał łakocie).
On później był w Nieświeżu — nieśmiertelną wolą
Na pastwę mojéj lutni skazał go Apollo.
A kiedy, jak dawniejsi doktorzy uczyli,
Powiódł się *experiment in corpore vili*,
Coraz się poufaląc z Febowém rzemiosłem,
Nastroiłem mą lutnię i wyżéj głos wzniosłem.
Febus widząc, że z czasem mogę służyć zdatnie,
Dał mi w źrzódłach Kastalskich pić wodę bezpłatnie,
A zamiast dobréj czapki do przykrycia głowy,
Obiecał mi na uszy dać wianek laurowy.
Chłodnoć nieco w tym wianku; ale mniejsza oto:
Wszak sława, jak wiesz Aspan, niechodzi piechotą.
Będę sławnym; lecz tego zataić niemogę,
Że twój wieszcz, Dyrektorze, ukazał mi drogę
Do nieśmiertelnéj chwały — jego rym nielada
Był dla mnie dobrym wzorem, jak się pieśń układa,
On mi pierwszy ukazał przybytek niebieski —
Wdzięczność mu! wdzięczność za to do grobowéj deski!

A choć wzorem magnatów, zbyt krótkiéj pamięci,
Apollo swoje dla mnie obietnice skręci,
Choć muzy, zamiast laurem wieńczyć uroczyście,
Przystroją moje czoło w harbuzowe liście —
Powiem odchodząc z kwitkiem: dołaż moja taka!
Lecz nieprzestanę kochać twojego śpiewaka
I człeka w nim podziwiać.
Twarda losów ręka!
Widziałem go w dniach smutku kiedy serce pęka:
Jak Rzymianin, mospanie, jak Mąż znosił dolę,
Z uśmiechem na obliczu, z pogodą na czole;
Mimo boleści ducha, tak wesołym zda się,
Jak, pamiętasz? w Kotłówce na pierwszym popasie,
Kiedy to (niech nierażę skromności Waszeci)
Znalazł perłę nauki zagrzebaną w śmieci.
Ho! ho! wasze spotkanie wiadome już wszędy,
Nawarzyliście piwa waszemi *Gawędy!*
Krzyczą już w niebogłosy i wielcy i mali
Żeście tam bez litości wszystkich ogadali:
Że niby to płeć piękna kapryśna i płocha,
Że niby to już Litwin nauki niekocha,

Że niby to szkodliwy systemat Platona,
Że niby to pszenica z brzucha Faraona
Niewyda bujnych plonów mnożona po ziarnku,
Że niby młodzież nasza w Widzach na jarmarku
Marnuje grosz i zdrowie, że nasz zwyczaj taki
Iż przyjmujem Kubana choćby niuch tabaki,
Że gawęda *kradzione* przyda się na świecie,
Że professor Warszawski sam niewié co plecie,
I dalsze *et caetera* (*) — satyrą bezwzględną
Tyleście nabroili, że aż uszy więdną,
A co gorsza niesłusznie.
Ot za sannéj drogi,
Odwiedźcie jeśli wola mój domek ubogi,
A w mojéj okolicy i to w jeden dzionek
Wskażę wam stałość dziewic i wierność małżonek,
I szacunek dla mędrców, do nauk pochopy,
Wskażę jak tu pojmują postęp Europy —
Słowem o naszych cnotach przekonam tak snadnie,
Że ostre pogadanki odwołać wypadnie. —

(*) Alluzye do szczegółów objętych Gawędami Ambrożewicza.

Cóż Waćpan kiwasz głową? źle trzymasz o świecie!
Otóż zhasam cię za to w Warszawskiéj Gazecie.
Lecz podali staruszkę— wszak szkodzić niebędzie
Jegomości po drodze, a mnie po gawędzie,
Przed wieczerzą, na dowód że nam kraj nasz miły:
Boć to kielich z Nalibok, starka od Szaciły.
Od kwasków zagranicznych uchowaj nas Boże!
W nieomylne rączęta, Mości dyrektorze!

1850.
Załucze.

5.

DO

JANA BAPTYSTY RYCHTERA.

W dzień Imienin.

Są w kalendarzu między świętemi
Imiona głośne i uroczyste;
Ale na niebie, ale na ziemi
Niemasz nad Jana Baptystę.

Od starożytnych czasów Judei,
Od świętych czasów Jezusa Chrysta,

Zawsze był sławny w wieków kolei
Jakiś Joannes Baptysta.

U nas na staréj ziemicy Lecha
Komuż kraj winien świetne korzyście?
Komu się wdzięcznie sława uśmiecha?
Zawsze Janowi Baptyście.

I ten, co pierwszym zasłynął wieszczem
Pod Czarnolasu lipą cienistą,
I ten, co Turków przejmował dreszczem,
Pisał się Janem Baptystą.

Stary Tarnowski bije Wołoszę,
Zamojski Polskę od Niemców czyści —
Jakże tym mężom na imie — proszę?
Wszystko Janowie Baptyści!

W twego zawodu skromniejszéj drodze,
Gdy w myślach przeszłość przypomnę mglistą,

Wszędzie szacowne ślady znachodzę,
Żeś godnym Janem Baptystą...

Czy otoczony szubrawczém gronem,
Gromiłeś ziomków wady nieczyste,
Zawsze *ex ungue* znano *leonem*,
A z pióra Jana Baptystę.

Czy dziś, gdy biednych kmiotków gromada
Do drzwi Xiążęcych puka o wnijście,
Komuż swą biedę śmielej wygada,
Jako Janowi Baptyście?

Przechodzą czasy z wieków koleją,
Lecz wzory cnoty, wzory wieczyste:
Młodzi szubrawcy cenić umieją
Starego Jana Baptystę.

24 Czerwca, 1853.
Borejkowszczyzna.

6.

DO

EUSTACHEGO Hr. TYSZKIEWICZA.

Wińszując Imienin

1854.

Cała Twych, hrabio, przyjaciół gromada,
Litwiny, Niemcy, Rusiny i Lachy,
Niech pamiętają, że dzisiaj przypada
Święty Eustachy.

Pozwól, niech w Twoim zajawię się progu,
I wydobędę pęk życzeń z pod pachy:
Wszak dziś dyżurnym jest przy Panu Bogu
Święty Eustachy.

Życzliwy *dokład* za swoim klientem
Chętnie zaniesie w Empirejskie gmachy
I zaforsuje swoim wpływem świętym
Święty Eustachy.

Na pięknéj drodze twojego zawodu
Posieje hełmy i pancerne blachy
I stągwie pełne odwiecznego miodu
Święty Eustachy.

Stare ławnice, bogi, przywileje,
W czém były Litwy nadzieje i strachy,
Wié gdzie, pamiątka naszych ojców tleje
Święty Eustachy.

I z Majestatu Bozkiego podnóża
Kiedy pogląda na Litewskie dachy,
Pamiątek naszych niech przeżegna stróża
Święty Eustachy.

Wilno.

Wrzesień.

III.

WARYANTY STARYCH TEMATÓW.

1.

Mogłem być znaczny na świecie,
I bogatszy w mym powiecie,
Ale cel mego żywota,
Niebył zbierać siła złota.

Mikołaj Kochanowski — Rotuła XI.

To papką to czapką, to prośbą to siłą,
Zhołdowałbym losy, zhołdowałbym ludzi,
Jużby się i złota i cześci dobiło, —
Lecz chciwość i pycha żądz moich niebudzi,

Zgasiwszy ich ognie w najpierwszéj iskierce,
Wybrałem ubóstwo, piosenkę i serce.

Lecz biada wśród ludzi, kto żądz ich niedzieli! —
Ze skromnem rojeniem ukrywać się każą,
Ubóstwo wyśmieli, przy pieśni zasnęli,
A święte uczucie okryli potwarzą, —
I lecąc przed ołtarz Mammona i Pychy
Zburzyli mój uchron zburzyli mój cichy!

O! czemuż w mych modłach niebyło modlitwy,
Do cielca Baala, do bożka czczéj chluby:
Z ich własnym orężem stanąwszy do bitwy,
Podeptałbym pysznych i starł samoluby;
Silniejszą przewagę uznawszy w pokorze
Znieważać me serce przestaliby może.

1855.
Wilno.

2.

Niepodobnym obyczajem
Niepocząwszy żyć przestajem.

Jan Kochanowski, Xięga X. pieśń XV.

Codzień głosim piękne słowo,
Codzień wiedziem żywot trupi
Codzień mamy żyć na nowo
Wznieść się sercem, wznieść się głową
Aż nas w końcu Czyn odkupi,
Aż nas w końcu Duch oświeci,
Ale starym obyczajem

Słowo szumi a czas leci,
Niepocząwszy żyć przestajem.

W polach naszych perz i ziele
Potrzebuje rolnéj sochy,
W myślach kwitną piękne cele,
Czujem w sercu chwastów wiele,
Które zasiał żywot płochy,
Prędko z gruzów staréj nędzy,
Mamy wioski stworzyć rajem,
Lecz śmierć idzie jeszcze prędzéj,
Niepocząwszy żyć przestajem.

Jak ów Pielgrzym w Palestynie,
Świat na drzymkę legł złowrogą,
I godzina po godzinie,
Czeka wody aż przepłynie,
By przejść rzekę suchą nogą,

I na ziemi sakwy kładzie:
„Niech wypiję niech się najem,"
I znów drzymka po biesiadzie,
Niepocząwszy żyć przestajem.

IV.

HYMNY DO MSZY ŚWIĘTÉJ.

HYMNY DO MSZY ŚWIĘTEJ.

P. Floryanowi Miładowskiemu do jego muzyki napisane i na przyjaźną pamiątkę poświęcone.

KYRYE-ELEYSON.

Przy świętych tajemnic straszliwéj Ofierze,
Gdy lud Twój z modlitwą przed ołtarz się zbierze,
Wysłuchaj serdeczne wołanie,
Zlituj się nad nami, o Panie!

CHRYSTE-ELEYSON.

Niech nasze westchnienia i modły w świątyni
Twa łaska godnemi przyjęcia uczyni;
Daj myśli, daj serca nam czyste,
Zlituj się nad nami, o Chryste!

GLORIA.

Chwała Panu na Syonie,
Niech się zleje, niech zespoli!
Pokój święty niech owionie,
Wszystkich ludzi dobréj woli!

GRADUALE.

Powstańmy z cześcią: bo zbawca sam
Prawdy żywota objawi nam,
Swego zakonu wyłuszczy treść,
I przykład poda jak życie wieść.

Zléj na nas, Zbawco, naukę, zléj!
Niech grzeszne serce odżyje w niéj;
Niechaj naprawdę zakipi już
Miłością Boga i bratnich dusz.

Credo.

Wierzymy w Boga, co światy tworzy,
Wiemy, że Chrystus prawy Syn Boży,
By zetrzéć głowę piekielnéj żmii,
Przyszedł na ziemię z łona Maryi.

Et incarnatus.

I Bóg stał się człowiekiem, i w ludzkiéj postaci
Dał się przybić do krzyża, za grzechy współbraci;
I czoło mu zranili i przebodli serce,
I skonał, błogosławiąc swe ślepe morderce.

ET RESUREXIT.

I zmartwychwstał uroczyście,
I w niebiosa ulata!
I zapewnił swoje przyjście,
Czynić sądy ze świata.

OFFERTORIUM.

Niech z ręki twojéj, kapłanie,
Bóg przyjmie świętą ofiarę;
A słowo ciałem się stanie,
I cud obaczym przez wiarę.
Gdzie chleba, wina istota,
Bóg znijdzie ku dziatwie swojéj;
Nakarmi Ciałem żywota
Krwią swojéj Łaski napoi.

SANCTUS.

Święty! Święty! Święty Boże!
Któż podoła Ci zmierzyć?

Człowiek tylko klęknąć może
I w proch czołem uderzyć?

Benedictus.

Hozanna, Hozanna! w potęgi ogromie
Na ołtarz ofiarny Bóg zstąpił widomie!
I ciało i duszę i krew' swoją bierze
I mękę odnawia w niekrwawéj ofierze;
Niedarmo, niedarmo o Zbawco! o Chryste!
Przelane krwi Twojéj potoki rzęsiste;
Dla żywych w niéj zdrowie i szczęście się mieści,
Dla zmarłych ochłoda czyscowych boleści.

Agnus.

Niech się na sercu nie trwoży
Kogo sumienie przygniata:
Gdyż oto Baranek Boży
Który gładzi grzechy świata!

Wy, którzy czyści jesteście,
Kogo żal omył i skrucha,
Do stołu Bożego spiesczie;
Bo dana uczta dla ducha.

BENEDICTIO.

Powstańmy wszyscy gromadnie,
Bądźmy szczęśliwi i prawi;
Tu kapłan na nas krzyż kładnie,
A w niebie BÓG błogosławi.

95

V.

PIOSNKI

DO MUZYKI WIKTORA KAŻYŃSKIEGO.

1.

„WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK."

(Żarcik.)

„Wlazł kotek na płotek i mruga,
„Piękna to piosenka, niedługa;"
My temu chytremu kotkowi,
I sami odmrugnąć gotowi, —
A żaden niezgadnie, niezoczy,
Co sobie powiémy przez oczy:
Tak mrugniem figlarnie i zdradnie,
Że człowiek sam siebie niezgadnie;

W tem sekret, w tém cała zasługa:
„Włazł kotek na płotek i mruga."

Ej, kotku, ty kotku filucie!
Czy mruga w twych oczkach uczucie?
Czy zdrada głęboka a słodka?
Zwyczajnie jak w oczach u kotka!
Czy mrugasz nieszczerze czy szczerze,
Ja zawsze kotkowi uwierzę,
I wzajem odmrugnę tak ładnie,
Że kotek nic a nic niezgadnie;
W tém sekret w tém cała zasługa:
„Włazł kotek na płotek i mruga."

A kiedy kotkowym zwyczajem
Zawiedziem i zdradzim się wzajem,
Niech żadne się na to nieżali:
Bo myśmy oboje mrugali.
Na zręczne mruganie z ukradka,
Nikogo nieznajdziem na świadka;

Kto widział, niezgadnie: co znaczy?
Bo coraz mrugamy inaczéj!
W tém sekret, w tém cała zasługa:
„Wlazł kotek na płotek i mruga."

2.

KRAKOWIAK NA LITWIE.

Choć w Krakowskiém lepiéj żyją,
Jać i Litwę chwalę:
Bo nad Niemnem, na Wiliją,
Lud niezgorszy wcale; —
Choć w gospodzie kiedy skacze
Mniejszą ma ochotę,
Choć czarniejsze tam kołacze,
Ale serce złote.

U nas zboża, u nas trawy
Zieleniejsze w okół,
U nas chłopiec taki żwawy,
Jak Karpacki sokół; —
Tu jak dęby chłopcy duże,
Pozwieszali głowy,
Ale za to w ich naturze,
Widać hart dębowy.

Każda nasza Krakowianka
Śmieje się radośnie,
Do chychotek, czy do tanka,
To aż serce rośnie!
Tu poważnie i powolnie
Dziéwcze słówka waży,
Jasném oczkiem kiedy kolnie,
Aż się człek rozmarzy!

Nasza piosnka żwawiéj hasa,
Tam powolniéj wcale,

Co jak echo z po za lasa,
Jak Wiślane fale.
Kiedy patrzysz na tych ludzi,
Gdy się w Litwie gości,
Cóś takiego w sercu wzbudzi
Jakby płacz z radości.

3.

PIEŚŃ MYŚLIWSKA.

Zagrajcie pobudkę, — już dnieje, szarzeje,
Trop łatwo na rosie zobaczym;
Ruszajmy na bory, ruszajmy na knieje,
Potykać się z leśnym kudłaczem.
Dwórurka przez plecy, a trąbka u pasa —
Niech krew się rozigra w nas żwawiéj,
A psiarnia ze smyczy niech sobie pohasa,
Niechaj się do pola zaprawi!

W dębowym, sosnowym ostępie, czy borze,
Pocieszmy się dobrą nadzieją!
Nieidźcie za nami pudlarze i tchorze:
Was lasy Litewskie wyśmieją!
Bo z dziadów, z pradziadów, tu echo borowe
Strzał celny rozeznać jest w stanie;
Kto trąbił w tych lasach, kto pił pogrzebowe,
Ten zuchem od razu zostanie!

Tu każdy powinien domowe znać knieje
I każdy znać pole od dziecka.
Zagrajcie pobudkę: już dnieje, szarzeje;
Ozwij się, drużyno strzelecka!
Niech głosy po rosie zagrają, popłyną,
Aż echo drzémliwe zatrzęście!...
O rozbudź się, kraśna, o luba dziewczyno!
Daj rączkę na drogę, daj szczęście!

4.

Dawniéj lepiéj było!

Piosnka.

—

W naszéj wiosce, za mych latek,
Inszy bywał ruch!
I wesele i dostatek,
Każde dziéwcze gdyby kwiatek,
Każdy chłopiec zuch!

Dziś na rozum młodzi biorą,
Ale idzie cóś niesporo
Insze czasy masz!
Starym kwieciem łąka kwitnie
Pokarlały kłosy żytnie,
Zbladła ludziom twarz!...

Czy w jesieni, czy to w wiośnie,
Były piękne dni,
Czy pracujem, serce rośnie,
Czy się bawim, to rozgłośnie,
Aż gospoda drzy!

Dzisiaj ludzie już nie tacy
I do czarki i do pracy —
Wiém ich siłę, wiém!...
A ojcowie dzielni, starzy,
Spoczywają u cmentarzy
Wiekuistym snem!

Pójdę do nich — na mogile
Będę płakać rad,
Do nich miodu dzban wychylę,
I pogwarzę choćby chwilę
Z ludźmi dawnych lat!

5.

KORALE.

Dumka Kozacka.

Gdym z Kozaki szedł na boje,
Moja Hanna rzecze:
„Niesiesz, luby, życie swoje
„Pod Tatarskie miecze!
„Lecz modlitwa, płacz dziewczyny
„W boju cię ocali;

„Ty mi za to mój jedyny,
„Przywieź sznur korali.

Bóg Kozaczéj szczęścił braci:
W jednéj boju chwili —
Han Tatarski wójsko traci,
A my gród zdobyli;
Gdy wyparto krzepkie wrota,
Gdy się miasto pali,
Inszy srébra inszy złota,
Jam szukał korali.

Wśród rabunku los mi służy,
Pan Bóg zdobycz poda:
Sznur korali kraśny, duży,
Jakby wiśnia młoda!
Pochwyciwszy zdobycz drogą,
Już nieczekam daléj,
Spieszę stanąć przed niebogą,
Dać jéj sznur korali.

Pędzę stepem, pędzę błonią,
Oj daremna praca!
W naszéj wiosce dzwony dzwonią,
Lud z mogiłek wraca —
Dobrzy ludzie śpieszą ku mnie
I wołają z dali:
„Twoja Hanna leży w trumnie,
„Nietrzeba korali!"

Zapłakałem, zajęknąłem,
I roztrącam rzesze,
I przed cerkwią padam czołem,
I przed obraz spieszę —
Do Najświętszych stóp Maryi
Niosę smutne żale,
I zawieszam u jéj szyi
Czerwone korale!

6.

KRUK.

Piosnka Litewska.

Z ponad lasu, z ponad chmury,
Na dolinę sioła,
Kruk się spuścił czarnopióry,
Na żér dziatwę woła;
Ej! żérował gdzieś na grobie
W pośród bojowiska,

Krwawą rękę trzyma w dziobie,
Na niéj pierścień błyska!

Czarny kruku! z jakiéj strony,
Burza cię przywiała?
Zkąd ten pierścień pozłocony?
I ta ręka biała?
„Za górami — ej, dziewczyno! —
„Był tam bój nielada!
„Krwi młodzieńczéj rzeki płyną,
„Głów tysiące spada!

„Zakopuje lud roboczy
„Bohaterskie głowy;
„Na mołojców orle oczy
„Sypie żwir surowy.
„Po kurhanach, jak kopacze,
„Wyją wilków stada,
„I niejedna matka płacze,
„Na grób piersmi pada!"

Dziéwczę jękiem pierś rozrywa,
Twarz we dłonie chowa:
„Dolaż moja nieszczęśliwa!
„Biednaż moja głowa!
„Wiém już teraz, kto zabity,
„Czyja to dłoń biała:
„Jam ten pierścień złotolity
„Lubemu oddała!"

7.

DOLA.

Waryant z pieśni Litewskiéj.

W oczach ciemno, serce boli,
I zapłakać chce się!
Pójdę hukać, lepszéj doli
Wywoływać w lesie.

Przyjmiem chlebem, przyjmiem solą
W szczeréj uprzejmości:

Odezwij się, lepsza dolo,
I przyjdź do nas w gości!

Między wzgórki, między drzewa,
Wołam w leśnéj ciszy;
Ale słowa wiatr odwiewa,
Dola nieposłyszy!

Piosnko moja! ej, nie tobie
Przebić wicher burzy!
Wracaj jęczeć sama w sobie,
Kędy serce wtórzy.

1854.
Wilno.

Borejkowszczyzna

VI.

PRZEKŁADY.

VI.

PARKLADY.

1.

FRAGMENT Z XIĄG HIOBA.

(Cap. XXXVIII.)

„Respondens autem Dominus — Job de turbidine dixit:“

Z szmeru wichrów Pan rzekł do Hioba:
„Ktoś jest przedemną, marny synu ziemi?
Czemu się skarżysz? przecz ci się podoba
Wikłać wyroki słowy niebacznemi?
Przepasz twe biodra, ja będę cię badał,
Odpowiedz, mędrcze, co twa myśl spamięta!

Gdzie byłeś wtenczas, gdym ziemię zakładał,
Kiedym jéj trwałe ciosał fundamenta?
Kto jéj budowę i ciężkość obliczy?
Kto ją rozmierzył pod sznur budowniczy?
Kto jéj podstawę ugruntował trwale?
Kamień węgielny kto pod nią położył?
Czy byłeś w tenczas obecny méj chwale
W obliczu ludzi i porannéj zorzy?
Kto fale morskie jak drzwiami lub kratą,
Zamknął w łożysku, uczynił brzeg suchy?
Okrył je chmurą, jakby mglistą szatą,
Osłonił mrokiem, jak dziecię w pieluchy?
Jam te granice wskazał niedościgle
I do wrót morskich przyprawiłem rygle,
I rzekłem morzu: „tu przyjdą twe wały
„A tu się fala burzliwa rozpryska,"
Czyż twoje myśli ukazać zdolały
Porannéj zorzy miejsce stanowiska?
Czyż ty trzymając za ziemne krawędzie
Z oblicza ziemi otrząsłeś zbrodniarze?

Światłość niezbożnych, że odjęta będzie
A silne ramie złamaniem się skarze?
Wnijść w morskie głębie czy zdolna twa władza?
Po dnie przepaści wiesz jak się przechadza?
Czy uchyliłeś straszne śmierci wróta?
Czy oglądałeś czarne drzwi otchłanie?
Szerokość ziemi jako jest osnuta?
Daj mi odpowiedź na me zapytanie.
Gdzie jasna światłość, a gdzie ciemność mieszka?
Jakie są cele tych obójgu rzeczy?
Jakie ich prawa i jaka ich ścieżka?
Czyś wyrozumiał, o synu człowieczy!
O twych urodzin czy wiedziałeś dobie?
Liczba dni twoich czy znajoma tobie?
Czy byłeś w skarbcu kędy śnieg się chowa?
I kędy gradu tajemne schowanie?
Na nieprzyjaciół jako broń gotowa,
Kiedy dzień walki morderczéj nastanie,
Czyś zbadał drogi i światła i słońca?
Albo podziały i stopnie gorąca?

Wiesz, jak deszczowa ulewa się wzbudzi?
Obliczysz drogę piorunowéj siły?
Aby w pustyni kędy niémasz ludzi,
Z deszczem się trawy lepiéj zieleniły,
Kto ojcem deszczu? zkąd rodzi się rosa?
W czyim żywocie poczęły się lody?
Kto białym szronem przysypał niebiosa?
Kto spoił w kamień wirujące wody?
Kto grzbiety rzeczne jak gdyby szkłem zalał?
Kto wierzch topieli bryłami zawalał?
Rozpierzchłe gwiazdy czyś policzyć w stanie?
Czy zerwiesz łańcuch, którym je spojono?
Czy wyprowadzisz poranne świtanie?
Lub brzask wieczorny na niebiosów łono?
Czy na twój rozkaz z obłoków czeluści
Deszcze popłyną lub piorun się spuści?
I przed obliczem twém się zastanowi,
I rzecze tobie: „otośmy gotowi!"
Kto wielką mądrość wlał w serce człowieka?
Kto drobne kury rozmysłem obdarza?
Na kogo niebo albo ziemia czeka?

Kogo uznają za swego mocarza?
Kto wyprowadza kamienie i bryły?
Kto każe prochom aby się zlepiły?
Powiedz, człowiecze, czy cała twa władza,
Zdoła nakarmić wygłodniałe lwięta,
Kiedy ich matka na żér się zasadza?
O kruku leśnym, powiedz, kto pamięta?
Czy twoja mądrość zaspokoi kruka?
Czy go nakarmi w przyzwoitéj chwili,
Gdy się tułając pożywienia szuka,
A głodna dziatwa w niebogłosy kwili?...

2.

KRÓL OLSZYN.

(Erlkönig).

Ballada z Goëthego (*).

Kto jedzie tak późno wśród nocnéj zamieci?
To ojciec z dziecięciem jak gdyby wiatr leci;
Chłopczynę na ręku piastując najczuléj,
Ogrzewa oddechem, do piersi go tuli:

(*) Król olszniaków (Erlkönig), duch złośliwy w mytycznych legendach staro-niemieckich. Balladę tę przetłomaczył na język polski, znakomity Bohdan Zaleski; tłomaczenie to już po dokonaniu naszego wpadło nam w ręce, inaczéj nieśmielibyśmy współzawodniczyć z wieszczem Ukrainy.

—„Mój synu, dla czego twarz kryjesz we dłonie?"
—„Czy widzisz mój ojcze, król olszyn w téj stronie,
„Król olszyn w koronie, z ogonem jak żmija?"
—„To tylko, mój synu, mgła nocna się zwija."

—„Chodź do mnie, chłopczyno, zapraszam najmiléj,
„Pięknémi zabawki będziem się bawili,
„Chodź na brzeg, tu kwiatki kraśnieją i płoną,
„A moja ci mama da suknię złoconą."

—„Mój ojcze! mój ojcze! czy widzisz te dziwa?
„Król olszyn do siebie zaprasza i wzywa!"
—„Niebój się, mój synu! zkąd w tobie te dreszcze?
„To tylko wiatr cichy po liściach szeleszcze."

—„Chodź do mnie, chłopczyno, poigrasz z rozko-
„Mam córki, co ciebie czekają i proszą, (szą,
„Czekają na ciebie z biesiady nocnemi,
„Zaśpiewasz, potańczysz, zabawisz się z niemi."

—„Mój ojcze! mój ojcze! ach, patrzaj... gdzie ciemno...
„Król olszyn ma córki, chcą bawić się zemną."
—„Niebój się, mój synu, ja widzę to zdala,
„To wierzba swe stare gałęzie rozwala."

—„Chodź do mnie, mój chłopcze, dopóki masz (porę:
„Gdy chętnie nie przyjdziesz, toć gwałtem zabiorę."
—„Mój ojcze! mój ojcze! ratujcie dziecinę!
„Król olszyn mię dusi.. mnie słabo... ja ginę!..."

Ojcowi boleśno... on pędzi jak strzała,
Na rękach mu jęczy dziecina omdlała;
Dolata na dworzec... lecz próżna otucha!
Na rękach ojcowskich już dziécię bez ducha.

3.

TOPIELEC.

(Ballada z kantaty Goëthego *die Fischerinn*).

„Ja kocham dziewczynę, o matko daj radę!
„Ja chce ją pozyskać, ja po nią pojadę."
Więc matka mu z wody wylepia konika,
A z piasku i tręzlę i siodło wytyka.
Ubrany jak rycerz od stóp aż do szyi,
On prędko pojechał na cmentarz Maryi,
Rumak go unosi pod wieżę kościoła,
On czterykroć kościół objechał do koła.

I wchodzi topielec w świątynię na progi,
Otacza go naród ciekawy i mnogi.
Xiądz stał przy ołtarzu. „Co to snadź za dziwa?
„Zkąd rycerz tak lśniący w te strony przybywa?"
Uśmiecha się dziewczę i okiem nań zmierza:
„O gdyby pozyskać lśniącego rycerza!"
Już stoi u ławek ta postać pancerna:
„Kochaj mię, dziewczyno, daj słowo, bądź wierna."
I przyszedł powtóre, potrzecie, poczwarte:
„Jedź ze mną, dziewczyno, podwoje otwarte."
Dziewczyna mu daje i rękę i obie:
„Masz moję przysięgę, zostanę przy tobie."
I wyszli z kościoła z weselną drużyną,
I w tańcu wesołym zabawy im płyną,
Aż tańcząc stanęli nad wody brzegami,
I ręka pod rękę zostali się sami.
„Potrzymaj, dziewczyno, rumaka na stronie,
„Ja ładne czółenko ku tobie przygonię."
Gdy weszli na zasep piaszczysty przy wodzie,
To wszystkie do lądu zwróciły się łodzie;

Gdy przyszli, stanęli nad morską zatoką,
Dziewczyna upadła — do morza głęboko.
I długo i długo sąsiedzi słyszeli
Krzyk pięknéj dziewczyny z wodnistéj topieli!
Ja radzę, jak umiem, niech każda pamięta:
Tańcować z topielcem nieidźcie dziewczęta!

4.

ŚPIEW WESELNY STARONIEMIECKI.

(z téjże kantaty).

Był sobie rycerz za dawnych lat,
On szukać żony pojechał w świat.
Do jednéj wdowy zapukał bram:
Trzy piękne córki mieszkały tam;
Trzy piękne córki zobaczył gość,
Aż serce jego poczęło rość.

—„Ta będzie moją, co wszystko zna,
„Na trzy pytania odpowiedź da."
—„Zadaj, rycerzu, pytania trzy,
„Obaczym, która odpowie ci."
—„Co jest głośniejsze od dźwięku trąb?
„Co jest głębszego, niż morska głąb'?
„Co rozciąglejsze, niż drogi szlak?
„Co jest zieleńsze, niż trawy krzak?
„Co ostrzéj bodzie, niż ciernia ość?
„Co jest gorszego, niż kobiet złość? "
Dwie starsze myślą, dumają snadź;
Młodsza pośpiesza odpowiedź dać:
—„Piorun głośniejszy od dźwięku trąb,
„Piekło jest głębsze, niż morska głąb',
„Miłość trwa dłużéj, niż drogi szlak,
„Gryszpan zieleńszy, niż trawy krzak,
„Grot ostrzéj bodzie, niż ciernia ość,
„A szatan gorszy, niż niewiast złość."
Słysząc odpowiedź dobitną wciąż,
Najmłodszą z dziewic wybiera mąż;

Nim starsze milczą, dumają snadź,
Drużba pośpiesza obrączkę dać.

CHÓR.

Najmilsza z dziewic, najmilsza ta,
Co prędką drużbom odpowiedź da.

5.

INNY ŚPIEW WESELNY.

(z tejże kantaty.)

Jam mojéj matce codzień bez mała,
Od saméj wiosny przypominała:
Staraj się matko dziewczyny wszędzie,
Co ci tkać będzie, co nić wyprzędzie.
Już mego płótna dosyć się bieli,
Dosyć wyprzędłam białéj kądzieli,
Dosyć ci białe zmywałam stoły,
I zamiatałam dwór nasz wesoły;

Dość miała matka odemnie cześci,
Czas mi posłużyć kochanéj teści,
Dosyć na łące zgrabiałam siana.
Wianku mój, wianku! trawko ruciana!
Już cię niedługo na głowie nosić.
Wstążko zielona! dosyć ci, dosyć
Blaknąć na słońcu w letnią spiekotę.
O włosy moje! włosy wy złote!
Już się zakryje wasz uplot gładki.
Kiedy w gościnę przyjdę do matki,
Nie wianek głowę moję upina,
Lecz czepiec cienki jak pajęczyna.
O moje piękne dziewicze stroje!
Ja was zawiążę we wstążki moje,
I na bielonéj ścianie powieszę,
I będę płakać ku méj pociesze.
Złote pierścionki! leżcie już sobie,
Ja wami ręki nieprzyozdobię!

6.

ZUZANNA TOPIELICA.

Wypadek z 1809.

(Ballada z Goëthe'go.)

Zerwała groblę szalona fala,
Szumi na błoniach, drzewa obala.
„O! jeszcze powodź łagodna dosyć,
„Ja brnąć potrafię, umiem przenosić;
„Matko, nim wzbiorą fale szalone,
„Ja cię przeniosę na drugą stronę.

—„Och! Bóg nam przecię swą łaską świeci —
„Ja chora matka... i troje dzieci...
„Dzięki ci, dziéwcze, dzięki losowi,
„Jużeśmy zginąć byli gotowi!"
I młode dziéwczę ratując szczerze
Schorzałą matkę na barki bierze.

„Na suchym brzegu niech czeka dziatwa,
„Tak niedaleko, przeprawa łatwa;
„Czekajcie, dzieci, nim przyjdą fale,
„Ja wnet powrócę, ja was ocalę!"

Grobla zerwana, szaleje fala,
Wyrywa ziemię, drzewa obala.
Zuzanna matkę przeniosła chorą,
Ratować dzieci pośpiesza skoro.
„Ej dokąd? dokąd? próżna odwaga!
„Fale wirują, powódź się wzmaga,
„Nurt cię pochwyci, młoda dziewczyno!"
—„Ja chcę ratować... oni niezginą!"

Grobla już tonie, szaleje fala,
Szumi jak morze, huczy z oddala;
Zuzanna w wodę puszcza się śmiele,
Przechodzi kładkę, brnie przez topiele,
Już się zrównała z chatą sąsiada,
Lecz unieść dzieci — daremna rada!

Powódź z łoskotem groblę obala,
Ponad pagórkiem wiruje fala,
Szumiąc i hucząc do morzaleci,
Unosi dziéwcze i troje dzieci,
Unosi wszystko—w mętnéj topieli —
Oni już dawno zginąć musieli!

To się Zuzanna mignie nad wodą,
Któż uratuje dziewczynę młodą?
To w głąb' wiruje, to się wyłoni,
Lecz nikt z wioślarzy nieśpieszy do niéj;
Snadź jeszcze żyje — nim śmierć ją spotka,
Gdyby choć czółno, gdyby choć łodka,

Gdyby choć deska — próżna otucha!...
Już leci w niebo gwiazdka jéj ducha!

Groblę i pole powodź zalewa,
Tylko gdzieś baszta, lub konar drzewa,
Wskazuje miejsce gdzie ludzie żyli;
A nad topielą, z chwili do chwili,
Wznosi się widmo — czy wierzyć oku?
Postać Zuzanny jakby w obłoku.

Woda opada, kraj się zieleni;
Po topielicy ludzie strapieni...
I przepłakali i zapomnieli,
I już jéj pamięć jakby w topieli.
Szumiącą falą czasu przykryta;
Życia i śmierci nikt niedopyta.

16 marca 1854.

7.

PIEŚNIARZ.

(*z Goëthe'go.*)

„Kto tam do bramy kołace?
„Kto tam zawodzi na moście?
„Ja za piosenkę zapłacę,
„Do sali pieśniarza proście."
Tak mówił król do swéj świty;
Wybiegli paziowie młodzi —
I siwym włosem okryty,
Harfista do sali wchodzi.

„Cześć pięknym damom i chwała!
„Cześć wam szlachetni panowie!
„Co gwiazd w komnacie téj pała!
„Któż ich imiona wypowie?
„Widząc tę salę wspaniałą,
„Aż moje oko się nuży;
„Lecz teraz czasu zamało,
„By rozpatrywać się dłużéj."

I pieśniarz oko rozżarza,
I w stróny harfy uderzy;
Damy słuchają pieśniarza,
Słucha go orszak rycerzy.
Królowi miła zaiste
Pieśń i postawa śpiewacza,
Więc, aby uczcić harfistę,
Złoty mu łańcuch przeznacza.

Lecz starzec skromnie odpowié:
„Na co mi łańcuch w téj chwili?

„Niechaj go wezmą wodzowie,
„Co nieprzyjaciół pobili.
„Niech kanclerz twojéj pieczęci
„Złote ogniwa nabędzie;
„On się do służby zachęci
„Przykuty na swym urzędzie.

„Ja śpiewam, jak ptaszek śpiewa,
„Co mieszka w gęstwi nad wodą;
„Pieśń, co się z piersi wylewa,
„Jest sama sobą nagrodą.
„Ja się poprosić odważę
„O mą zapłatę jedyną:
„W czystym ze złota pucharze
„Podacie mi stare wino!"

Złocisty puchar nalany;
Starzec wychylił go szczezze:
Szczęśliwe gościnne ściany,
Gdzie pieśniarz siły nabierze, —

I oddał pokłon królowi
I panom skłonił się skromnie:
„Żegnajcie, bądźcie mi zdrowi,
„I czasem wspomnijcie o mnie!

„Królu, za łaski wylanie
„Niech ci Bóg hojnie zapłaci,
„I wam, panowie i panie,
„Coście szczęśliwi, bogaci.
„Za wszystko co się korzysta,
„Dziękujcie Bogu co chwila,
„Jak wdzięczen stary harfista
„Za napój co go posila."

---

28 kwietnia 1854.

8.

DO MOŻNYCH PRZYJACIÓŁ.

(Myśl z francuzkiego.)

—„Non mes amis, non, je ne veux rien être."

O przyjaciele! ja nic od was niechcę,
Zwróćcie gdzie indziéj dobroczynne oko:
Chciwość niedraźni, próżność mię niełechce,
Ja ptak lękliwy, niewzlecę wysoko!
Czegoż mi trzeba? serca, co pokocha,
Skromnéj wieczerzy w kółku biesiadniczém,

Bratniéj rozmowy i współczucia trocha, —
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

Świetniejsza dola byłaby niewporę,
Dla rymoklety, co marnuje chwile;
Czuję dotkliwie gdy chleb w usta biorę;
Żem niezasłużył posiadać go tyle.
Do tego chleba och! wyrobnik lichy
Więcéj ma prawa przed Niebios obliczem. —
Sakwa żebracza niewstydzi méj pychy:
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

Raz patrząc w niebo myśl moja ulata,
I tam z wysoka ziemski padoł mierzy;
Przebiegłem okiem cały obszar świata,
Królów, poddanych, wodzów i żołnierzy.
Okrzyk mię doszedł — czy bitwę wygrali?
Kogo tu sławią w krzyku hołdowniczym?
Cześć wam, potężni, których naród chwali!
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

Ja wielbię cnotę bohaterskich ludzi,
Co opuszczając domowe ognisko,
Siadają w okręt, gdy się fala zbudzi,
Aby sterować kiedy burza blizko;
Wołam zdaleka: niechaj Bóg was strzeże!
Modlę się za nich losom tajemniczym;
Sam się na słońcu kładnę na wybrzeże:
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

Wasze grobowce będą patrzéć dumnie
Na mój grobowiec wśród badyli zielnych,
Naród przy waszéj będzie płakać trumnie —
Gdym skromnie wiezion na marach kościelnych,
Co mi po waszych trumnach i żałobie?
W nieśmiertelności kiedyś się obliczym;
Cała różnica zespoli się w grobie.
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

W pysznych pałacach niezamieszkam z wami;
Tylko dostojnéj pokłonię się głowie.

Odchodzę od was: bom w progu za drzwiami
Zostawił lutnię i liche obówie.
Ludzkość do waszych podwojów kołace,
Kojcie łzy nędzy z braterskiém obliczém,
Ja wam z ulicy — piosenką zapłacę,
Pan Bóg mię tworząc kazał zostać niczém.

9.

STARA KAPOTA.

(z francuzkiego.)

„Sois-moi fidele, o pauvre habit que j'aime.“

Zostań mi wierną, stara odzieży!
Wszakeśmy z sobą starzeli w parze;
Już rok dziewiąty wspólnie nam bieży,
Niech taką sztukę Sokrat dokaże!
Bądźże wytrwałą choć czas i mole
Grożą zniszczeniem — nietroszcz się o to,
Filozoficznie znoś twoję dolę,
Ty mię nierzucaj, stara kapoto!

Musisz pamiętać tę słodką chwilę
Gdym cię raz pierwszy przywdział wspaniale,
Kiedy prawdziwych przyjaciół tyle
Śpiewało pieśni ku twojéj chwale.
Dziś choć straciłaś twą barwę czarną,
Bracia niewzgardzą naszą lichotą,
Po staroświecku do serc przygarną:
Ty mię nierzucaj, stara kapoto!

Wszak pomnisz wiosny naszéj poranki,
Wszak cenisz wpólne wspomnienia nasze!
Gdym się wyrywał z objęć kochanki
Onać oddarła sute karwasze.
Musisz pamiętać to dziéwcze młode
Jak się rumieniąc z miłą prostotą,
Drobnemi ściegi naprawia szkodę...
Ty mię nierzucaj, stara kapoto!

Czyż drogiéj ambry zbytkowną wonią
Splamiłem ciebie przez mnogie lata?

Czy tam gdzie trzosem na ciżbę dzwonią
Sponiewierałem u ścian magnata?
Niechciałem ciebie — Pan Bóg mi świadkiem —
Zdobić we wstęgi, albo we złoto;
Ty byłaś dumna polowym kwiatkiem —
Ty mię nierzucaj, stara kapoto!

Przebywszy razem słoty, pogody,
Takie boleści, takie rozkosze,
Niedziw, że zginął nasz połysk młody,
Że przyszło w końcu spłowieć potrosze.
Dziś przysypanych zimy szarugą
Smutne przeczucia wspólnie nas gniotą:
Służ mi do trumny — czekać nie długo.
Ty mię nierzucaj, stara kapoto!

10.

ALCHEMISTA.

(z francuzkiego.)

„Tu vas, dis tu vieux et pauvre alchimiste,
„Tirer de l'or des métaux indigents, —

Mówisz przedemną, alchemisto stary,
Że z podłych kruszców wydobywasz złoto,
A jeszcze bardziéj, że twojemi czary
Możesz mi młodość przywrócić z ochotą.
Mówię ci z wiarą: — czyń co się podoba,
Pełnym ci trzosem mą wdzięczność dowiodę,

Zostańmy przy tém, co lubimy oba:
Ty weźmiesz złoto — daj mi lata młode.

Przewracaj karty starego Hermesa,
Zgłębiaj Paktola źrzódła młodociane,
Niechaj ci złotem napełnia się kiesa,
Ja sobie chętnie ubogim zostanę.
Dla ciebie możni otworzą podwoje,
Mieć będziesz laury, oklaski, wygodę;
Ja się skromnémi różami przystroję,
Weź sobie złoto, — daj mi lata młode.

Widzę, jak próżność po sercu ci łechce,
Słyszę, jak wołasz upojony szałem:
„Klęczcie przede mną: zakupię co zechcę,
„Kopalnię złota, w nauce zyskałem!"
Patrzcie jak skarbów spodziewane plony
Zmieniły twoję żebraczą przyrodę!
Choćbyś mógł kupić berła i korony,
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

O! dajmi mi młodość taką jak ja cenię,
Z duszą potężną, ognistą, namiętną,
Odbierz ode mnie mądre doświadczenie,
Wléj krew' gorętszą w słabe pulsów tętno.
Obaczysz z okna twych jasnych pałacy
Jak ja wesoło piosenkę wywiodę,
Pod cieniem drzewa jak usnę po pracy...
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Wiém: na czem bogactw zasadza się chluba,
Lecz czuję pewab młodzieńczych słodyczy,
Smutno mi widzieć, kiedy moja luba
Na drobnych palcach me lata policzy.
Gdy smutna jesień moję głowę śnieży,
Błagam cię, mędrcze, o letnią pogodę,
Ta, którą kocham, w bogactwa niewierzy..
Weź sobie złoto — daj mi lata młode.

Lecz próżna, widzę, twoja obietnica:
Tyś zawsze biedny, a ja zawsze stary.

„Poczekaj — mówisz — jutro nów xiężyca,
„Poczniem na nowo zaklęcia i czary."
Choć wiém, że twoja nauka kłamliwa,
Lecz mi potrzeba wiary na osłodę,
Patrz! jak mi zmarszczek po zmarszczku przybywa,—
Weź sobie złoto — daj mi lata młode!

11.

STARY KAPRAL.

(z francuzkiego.)

„En avant! partez, camerades;

Naprzód! naprzód! marsz, rębacze!
Broń na ramie! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!
Osiwiłem w służbie włosy;
Czym źle zrobił — trudno dociec;

Lecz na mustrach — ej, młokosy!
Byłem dla was jako ojciec.
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Młody Rotmistrz mi uwłacza,
Więc mu pięścią dałem busi;
Sąd wojenny nieprzebacza:
Stary kapral umrzéć musi.
Tak potrzeba, na przestrogę
Żem zimniejszéj krwi nie użył;
Lecz obelgi znieść niemogę:
Jam bohaterowi służył!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew' i zdrowie:
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie.
Jam go zyskał w dobréj sprawie...
Ej, bywało, bracia mili,
Ja wam stare boje prawię,
Wy gorzałkęście płacili!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Robert! chłopcze z naszéj wioski,
Wracaj do niéj paść twe trzody;
Patrz, jak piękne klony, brzozki!
Teraz na wsi kwiecień młody!
Ja bywało o téj porze
Wdziękiem sioła oczy pieszczę...

O mój Boże! o mój Boże!
Moja matka żyje jeszcze!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Kto tam szlocha? znam po jęku:
Żona trębacza hussarzy;
Niosłem syna jéj na ręku
Idąc z Moskwy w przedniéj straży;
Jéj by przyszło w dzikim stepie
Zginąć w śnieżnéj zawierusze, —
Dziś niewiasta pacierz trzepie,
Niech się modli za mą duszę!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Tam do licha! — fajka zgasła...
O! nie jeszcze — już my w kole.

Do szeregu! czekać hasła!
Oczu wiązać niepozwolę!
Ej, kamraci! ej, najszczersi!
Wara płakać! broń gotowa;
Strzelać celno — w same piersi —
I niech Pan Bóg was zachowa!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

12.

STAROŚĆ.

(z francuzkiego.)

„Nous verrons le temps qui nous presse
„Semer les rides sur nos fronts."

Dzień po dzionku marnie schodzi,
Czas na czole zmarszczki pisze;
Chociaż jeszcze dosyć młodzi,
My starzejem, towarzysze!
Lecz kto lubi kwiatów sploty,
Kto w młodzieńcze wierzy mary,
Kto ma czucie swéj istoty,
Ten niebardzo jeszcze stary.

Próżno winem człek się świeży,
I piosenką bezprzytomną:
Krasawice przy wieczerzy
Smutną starość nam przypomną;
Lecz do świtu kto w humorze
Bez ustanku chyli czary,
Kto choć drżący śpiewać może,
Ten niebardzo jeszcze stary.

Zwolennicy ideałów
Dziś niespełnim co się marzy;
Towarzyszki naszych szałów
Przymawiają żeśmy starzy;
Lecz kto skromnie się udziela,
Kto się słusznéj dzierżąc miary
Ma w kochance przyjaciela,
Ten niebardzo jeszcze stary.

Dzisiaj młodzież choć nam wróży
Naszą starość niezawodną,

Że natchnienie nam niesłuży
Że piosenki nasze chłodną;
Lecz kto czuje duch śpiewaczy,
Zdoła jąć się strón cytary,
Zebrać w kółko swych słuchaczy,
Ten niebardzo jeszcze stary.

Jeszcze chwilkę, towarzysze,
Wiosny pieśćmy się obrazem,
A gdy młodość niedopisze,
Postarzejem wszyscy razem;
Lecz kto głowy niekłopota
Choć ma ciężkich trosk bez miary,
Kto doścignął cel żywota,
Ten niebardzo jeszcze stary.

13.

TRZYNASTU U STOŁU

(z francuzkiego.)

„Dieu! mes amis, nous sommes treize à table!“

My we trzynastu do stołu'śmy siedli,
A jam niechcący rozsypał garść soli.
Co tam złe wróżby? czegoście pobledli?
Oto śmierć ku mnie zbliża się powoli!
Ona się zbliża uśmiéchnięta, młoda,
Na jéj przyjęcie w puhar się uzbroję.
Począłem pieśnie, porzucać jéj szkoda.
Ja moi bracia śmierci się nieboję.

Jak gdyby gościa, gdy na ucztę zową,
Równianką kwiatów jéj czoło uwieńcza;
Ja tylko jeden widzę ją nad głową,
Nad nią promienna połyska się tęcza;
Uśpione dziecię na swém ręku trzyma
I ciężki łańcuch stargany na dwoje.
Dajcie mi puhar! choć mam przed oczyma,
Ja moi bracia śmierci się nieboję.

„Niebój się — mówi — jam życia narzędzie,
„Ja córka Niebios, ja siostra otuchy;
„Biedny niewolnik czyż złorzeczyć będzie
„Gdy z niego ciężkie opadną łańcuchy?
„Gdy los cię odarł, aniele skrzydlaty,
„Ja ci przywrócę piękne skrzydła twoje!"
Witajcie gościę, a sypcie jéj kwiaty.
Ja moi bracia śmierci się nieboję.

„Dotknę się czoła — a po latach próby,
„Duch twój uleci odrodzony zda się,

„Gdzie na lazurze płomieniste globy
„Bóg porozsiewał w Przestrzeni i Czasie.
„Czyż ciebie taka swoboda niemami?
„Porzuć zgryzoty, porzuć niepokoje,
„Używaj szczęścia pełnémi piersiami."
Ja moi bracia śmierci się nieboję.

Zniknęło widmo, a nikt go niebaczy;
Pies tylko warknął na widmo grobowe.
Pocóż się człowiek do życia junaczy
Gdy chłód trumienny odrętwia mu głowę?
Wesoło kończmy nasz żywot zwodniczy,
Porzućmy strachów niedołężnych roje —
Bądźmy w trzynastu — Pan Bóg nas policzy,
Ja, moi bracia śmierci się nieboję.

14.

KOMETA.

(z francuzkiego.)

„Dieu contre nous en envoie une comète!„

Oto Bóg na nas kometę przysyła;
Nieunikniona zbliża się zagłada.
Czuję już czuję, jak niszcząca siła
Uderza w ziemię i w gruzy ją składa.
Żegnajcie, uczty żywota sąsiedzi!
Zostawcie wasze zatrute puhary!
Dusze lękliwe, idźcie do spowiedzi!
Potrzeba skończyć: bo nasz glob już stary.

I dnia i nocy kolejne przemiany
Zginą na wieki — o biada nam biada!
Jako latawiec ze sznurka zerwany,
Biedny planeta kręci się i spada;
Spadnie na słońce, choć je w gruz zamieni,
Choć zgasi jego odwieczne pożary;
Tyle słońc jeszcze zostanie w przestrzeni,
Nam trzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Już nas znudziła nasza gminna pycha,
Już droga błędu nietyle nas wabi,
Nużą nas wojny, któremi oddycha,
Służebna zgraja i silni i słabi;
Znużone oko przyszłości nieszuka;
Zostawmy górne postępu zamiary,
Na mały teatr to za wielka sztuka.
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Młodzież powiada: — „Poczekajcie nieco,
„Zaraz blask nowy tę ziemię opasze,

„Gazem i drukiem zaraz się oświecą
„I głowy nasze i ulice nasze;
„Za lat dziesiątek rozproszy się ciemno,
„Kiełek postępu urośnie do miary." —
Jam lat trzydzieści czekał nadaremno.
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Jam nietak wierzył, gdy w młodości płochéj
Miłość i radość ożywiały łono:
„Ziemio! — mówiłem — niezbaczaj ni trochy
„Z błogiego kręgu, gdzie cię umieszczono!"
Dziś przestarzałem — moje lica blade —
Znam nicość pieśni, marzenia, ofiary...
Straszny kometo! dopełnij zagładę!
Potrzeba skończyć, bo nasz glob już stary.

Grudnia 1854.
Wilno.

15.

Pieśń rycerza Norwegskiego Harolda (*).

do Elżbiety córki Jarosława ks. Kijowskiego.

Na lekkich łodziach, zakuci w zbroi,
Wzięli Sycylję bojacy moj. —
Piękne wspomnienia dni pięknéj chwały!
Czarny mój okręt biegł po topieli,

(*) Jestto zabytek poezyi Skandynawskiéj XII wieku, Harold xiąże Norwegski, późniéj król tego narodu, młodo opuścił ojczyznę; zakochany w Elżbiecie cór-

Silnie po falach wiosła grzmotały
A mężni ludzie na nim siedzieli.
Gdzie kipią boje, gdzie szczęk oręża,
Tam szukam szczęścia, tam je znachodzę,
Ale niezawsze chrobry zwycięża —
Piękna rusinka gardzi mną srodze!

Zwracałem niegdyś mój zapał młody
Na Drottenheimu bitne narody;
A liczni byli nieprzyjaciele,
A krew potokiem biegła po drodze, —

---

ce Jarosława, a chcąc być godnym jéj ręki puścił się w świat dla szukania sławnych przygód. W Konstantynopolu będąc w służbie wschodnich cesarzów — pozyskał miłość cesarzowéj Zoe, a niemogąc być jéj wzajemnym, umknął do Kijowa: w Afryce i Sycylii walczył z niewiernémi, w Jeruzalem był jako pielgrzym; podczas swych wypraw, napisał 16 poezyi erotycznych z których jedną dajemy tutaj w przekładzie. Za powrótem z Jerozolimy pojął za żonę panią swych myśli w r. 1045 z którą miał dwie córki, Zginął w Anglii 1066 r. (ob. Stohn Sturlson Historia regum Septentrionalium T. II).

Młodego króla ja trupem ścielę —
Piękna rusinka gardzi mną srodze!

Raz my w szesnastu płyniem na łodzi, —
Kiedy straszliwa burza nadchodzi —
Łódź nam zalała fala topieli,
Lecz służy szczęście naszéj załodze:
Wodę wyleli i ocaleli —
Piękna rusinka gardzi mną srodze!

Czegoż potrzeba do mojéj chwały?
Jam w bitwie chrobry, jeździec wytrwały,
Ślizgawka w łyżwach moje rzemiosło,
Oszczepem trafnie do celu godzę,
Ja pływam lekko, znam jak brać wiosło —
Piękna rusinka gardzi mną srodze.

Czy moje czyny nieznane od niéj,
Jakem bojował w stronie zachodniéj,
Jakiem tam bitwy wygrał niezłomnie,
Z jakiemi plony ztamtąd odchodzę,

Jakie pamiątki zostały po mnie? —
Piękna rusinka gardzi mną srodze.

Zrodzony w górnéj Norwegskiéj ziemi,
Gdzie słyną z łuków strzały celnemi,
Chciałem sprobować morskiéj żeglugi
Strasznéj dla synów skalnych wybrzeży, —
Ocean wszystek szeroki, długi
Oto mój okręt krokami mierzy; —
Byłem gdzie żaden dotrzeć niemoże,
Świat niemieszkalny przebiegłem w drodze;
Lecz cóż mi chwała moja pomoże?
Piękna rusinka gardzi mną srodze!

16.

WROG-KUSICIEL.

Powieść wierszowana Pawła Kukolnika (*).

(Tłomaczenie z Rossyjskiego.)

Za dawniejszych czasów Polski,
Niedaleko Częstochowy,
Mieszkał szlachcic Jakób Wolski,
Arendując grunt czynszowy
U jakiegoś sobie pana
Senatora, dygnitarza,

(*) Obecną powieść mając sobie w rękopiśmie udzieloną od Szanownego Autora, przełożyliśmy dla jéj zacnéj tendencyi i wybornego rysunku naszego szlacheckiego żywota. Dalszémi częściami téj powieści, w miarę jak wyjdą z pod pióra Autora, będziemy oznajamiać naszą publiczność.

Wojewody, kasztelana —
Tego powieść niewyraża.
Domek świecił jak najschludniéj,
Dach gontowy go przykrywa,
W sadzie frukta i warzywa
I jak kryształ woda w studni.
Daléj widać gospodarnie
Zbudowane chatki, domy,
Stajnie, spichrze i owczarnie,
A na każdéj dach ze słomy.
A w owczarni owiec stadko,
Stadko krówek na oborze,
Trzy rumaki tuczne gładko,
A co ptastwa w całym dworze,
Stada gęsie, kur, indycze,
To już tego ani zliczę.
Ot pan Jakób, jedném słowem,
Mógł spokojnie, wyśmienicie
W gospodarstwie tak wzorowém
Chwaląc Boga pędzić życie,

I podhulać goszcząc brata
I jałmużnę sypnąć może,
A na zapas pod złe lata
Jest grosiwo, jest i zboże.
Sam pan Jakób dzielna postać:
Kruczy włos, a gęsta mina,
Pełny, kraśny, jak malina,
A mógł głową balki dostać,
Łeb szeroki, gładki, biały,
Nigdy na nim niepostały
Żadne chmurki lub gzygzaki;
Oko orle a brew czarna;
W pracy lekki gdyby sarna,
Silny, jakby niedźwiedź jaki.
Tegoż prawie co on wzrostu
Była żona Jakóbowa,
Cud-kobieta, że poprostu
Wśród sąsiadek jak królowa;
Twarz — obrazek, krew i mleko,
A warkocze aż się wleką,

A tak miękkie jak z jedwabi;
Usta jakby koralowe,
Czoło gładkie jak cukrowe
K' pocałunkom zda się wabi;
Co za pierś! co za kształt śliczny!
Szyjka, rączka u jejmości,
Jakby rzeźbiarz zagraniczny
Ze słoniowéj toczył kości.
Lecz uroczych wdzięków władza
Nic do pracy nieprzeszkadza;
Obok męża, wzór gosposi,
Nieżałuje rączki swojéj,
Nawet snopy żnie i nosi,
Nawet sama krówki doi,
Nic ją w pracy nieunuży,
Nic jéj wdzięków nieoszpeca,
Wśród upałów, deszczów, burzy,
Zawsze piękna twarz kobiéca.

Do rodzinnéj na zéj strzechy
Szczęścia z dziatek nam potrzeba;

Więc rodzicom dla pociechy
Dwóch aniołków dały Nieba.
Dwaj synkowie, choć wiek młody,
Już się krzątać uczą żywo:
Idą w puszczę po jagody,
Lub po drewka na łuczywo,
Karmią ptastwo kiedy lato,
Zimą znowu coś zatrudni,
Starszy nawet razem z tatą
Już konika wiódł do studni.

Słowem, dola Jakubowa
Była świętą jak być może:
Żona miła, dziatwa zdrowa,
A z lat kilku w spichrzu zboże,
A na toku pełno żyta,
A sakiewka w grosz nabita,
I z obory nabiał w zysku,
I w zarobku grosz się spotka,
Bo na całém targowisku
Już znajoma jego trzodka.

Jego spokój w żadnéj chwili
Ani chmurką niezachodzi;
Lecz co sercu jeszcze miléj,
Lecz co duszy jeszcze słodziéj:
Że to wszystko mu zjednywa
Praca święta, myśl godziwa,
Że ten domek, gdzie on mieszka,
Te stodoły i stajenki,
Że te drzewa, kwiaty ścieżka —
Wszystko praca własnéj ręki.
Gospodarzył w polu pustém,
Dziś jak złoto plon połyska,
Sam osuszył grzęzawiska,
Wybudował młyn z upustem.
Niechcąc gnuśnieć jako sknera
I zapleśniać grosza marnie
Wdzięczy, pieści i przybiera,
Co zbudował gospodarnie,
Że aż każdy mu zazdrości
Wzorowego ładu w domu.

Czy nielubił sam gnusności,
Czy był winien przykład komu,
Tego niewiem — dość, że wszędzie
Znaczno było gospodarza.
Gdzie porządek jest na względzie,
Smak i praca cuda stwarza.
Cały domek tynkowany —
W pierwszéj izbie skromne ściany
Pokrywało w kwiat obicie;
A na ścianach na podłodze,
Snadź porządku strzegą srodze,
Nigdzie plamki nieujrzycie.
A wieczorem płoną piece,
Płonie świeczki blask wesoły;
Choć pan Jakób chował pszczoły
Ze sto barci w swéj pasiece,
Lecz się skromnéj trzyma skali
I łojowe świeczki pali.
Za grzech ciężki licząc zbytek,
Wdzięczen za to, co Bóg zdarza,
Z wosku świętszy ma użytek:

Bo go niesie do ołtarza,
Zachowując zwyczaj stary
Ze swych plonów nieść ofiary,
Gdy się modli o swe zdrowie
Z nabożeństwem i pokorą,
Przed obrazem w Częstochowie
Jego świéce jasno gorą.

Od świtania saméj zorzy,
Aż dopóki zajdzie słońce,
On pracuje dzionek Boży
W sadzie, w polu, czy na łące;
A pracuje co się zowie,
A nudota ani w głowie.
A gdy mu się kończy praca
I do domu spocząć wraca,
Wesół szlachcic! bo zdaleka
Żona z dziatwą k' niemu zmierza,
A pod dachem już go czeka
Miły spokój i wieczerza.
Na rodziny lubéj łonie

Smutek serca nieowionie;
Żona smutek precz oddali
Piejąc tony słowiczemi:
Świat srogi... albo z górali:
Wanda leży w naszéj ziemi.

A bywało gdy niedziela,
Lub doroczne jakie święta,
Uczcić rany Zbawiciela
Bogobojny człek pamięta;
Na mszę całą już gromadą
Do poblizkiéj wioski jadą.
Tam gdy padnie na kolana
Aż w modlitwie płonie dusza;
Potém z żoną, z dziećmi rusza
Na śniadańko do plebana.

A xiądz pleban człek aż miło!
Słyszę rzadki w swoim stanie:
On pojmował z całą siłą
Swoje wielkie powołanie.
Miał gorliwość, dobrą wolę,

Nieobłudne, czyste serce;
Nierozprawiał, jak to w smole
Będą goreć różnowierce,
Od cierpiących nieunika,
Bliźnim bratnie niósł uczucie,
A szaleńca, rozpustnika,
Wiódł z miłością ku pokucie;
Nieponiży, upamięta,
Chlebem, sercem się podzieli!
W czém nauka jego święta,
Na nim samym wzór widzieli;
Wśród owczarni swojéj rzeszy
On jak anioł wszystkich cieszy.
I tę świętość, co w nim pała,
W inne serca wlać był w stanie:
Bo na serce prędzéj działa
Dobry przykład niż kazanie.
A w naukach jego błyska
I gorliwość i duch Boży;
Tłum do jego drzwi się wciska,
Idą biedni, idą chorzy;

Kto rozpaczną myśl zamierza,
Kto już świata nic nieceni,
Wszyscy idą do pasterza
I odchodzą pocieszeni.
Grzechy karcić prawowiernie,
Z serc zbolałych wyjąć ciernie,
W tém jedynie cel swój widzi,
Tém jedynie się kłopota;
Że mówili nawet Żydzi:
„Nu! to xiądz na wagę złota!"

On Jakóba znał jak dziecię,
Wszystkie myśli, każdy narów,
Z ojcem jego w dawne lecie
Chodził do szkół u Pijarów;
Tylko tamten, mówiąc szczerze,
Cóś do nauk się niebierze.
Lecz to rzecz drażliwéj treści;
O umarłych źle niemówię.
Niezaszkodzi nic powieści,
Choć czytelnik się niedowie:

Kto był ojcie bohatera?
I czy tęgo stał w łacinie?
Naszę baczność syn zabiera,
Więc o samym mówmy synie.

Co dobroci w nim się mieści
Xiądz wydziwić się niemoże;
Więc bywało chłopca pieści
I wykłada pismo Boże.
On pamiętał o Jakóbie,
Gdy go dotknął stan sierocy,
Rad udzielał i pomocy,
Błogosławił go przy ślubie,
Ochrzcił pokolenie młode;
A za trudy nic niebierze:
Bo Jakóba kochał szczerze,
W jego szczęściu miał nagrodę.
Za to kiedy xiądz dobrodziéj
Doń zawita czasem w gości,
Co tam szczęścia! co radości!
To jak Pan Bóg w progi wchodzi;

Wszyscy tulą go do łona,
Jakby dziatwa, jak rodzona.

Już to zimą lub w jesieni
Rzadziéj bywał u swych dzieci;
Lecz gdy wiosna zazieleni,
Kiedy latem słonko świeci,
Xiądz zaledwie po nieszporze
W Jakóbowy śpieszy dworek;
Tam go czeka stadło Boże
I przyjaźny podwieczorek.
Jakób takie dni pamięta,
Jak doroczne jakie święta.

Cztery lipy dwór zdobiły;
Tam przy jednéj zwykle lipie,
Gdy przybędzie gość ich miły,
Wszystko z domu się wysypie.
Tak chłodnawo, tak tu błogo!
Już się bieli stół nakryty,
A posiłek smakowity
Zadowolni Bóg wie kogo!.

Konfitura taka słodka
Owoc gruszy, lub jabłoni!
Smaczny piérog i jagódka
I śmietanka suta do niéj,
I maliny doszłe wcześnie,
Albo wiśnie i czereśnie,
Kawon, melon, co się zdarzy,
W co zarodzą dobre lata —
Ręka chętnych gospodarzy
Stawi za stół przed prałata:
(Bo przez cześć ku siwéj głowie
Dom prałatem xiędza zowie).
Daléj skromny smak przynęca
Pieczeń sarnia i cielęca,
I kurczęta na pieczyste,
Kukurudza, kopa raków:
Bo wiedziano, że zaiste
Xiądz amator tych przysmaków.
Przy posiłku dla strawności
Lipiec sączył się w puchary;
Xiądz się za to nie zazłości:

Bo smakował miodek stary;
Innych trunków... chowaj Boże,
Ani w usta wziąść niemoże.

Kapłan stara się nawzajem
Wynagrodzić czémś współbraci,
I pobożnym obyczajem
Za gościnę sercem płaci;
W pogadance rozpostrzenia
Myśl pożytku i zbawienia.
Miała korzyść dziatwa młoda
W każdéj chwili, w każdém słowie,—
Xiądz naukę świętą poda,
Lub zbawienny przykład powié.

Tak rodzina żyła szczerze
I cnotliwa i szczęśliwa,
Że się nawet niespostrzeże
Jako dzień za dniem upływa.
Ale szatan wciąż się stara
Zatruć szczęście Bożych dzieci:

Stawi pokus co niemiara
I rozciąga swoje sieci,
Nie te sieci, w których zguba
Ludziom świata prędka, łatwa, —
Znał kusiciel, że Jakóba
W lada siatkę niezagmatwa.
Prosta wiara, rozum zdrowy,
Wszelki grzech ma za zbrodniczy,
Czego dzisiaj człek światowy
I za winę niepoliczy.
Każda takich grzechów zbrodnia,
Jadowita jak by żmija,
Dusze ofiar wciąż zabija
I zaludnia piekło co dnia.
Ale szatan kręta sztuka
Plan zabójczy osnuł zdatnie,
Taką w końcu osnuł matnię,
Że i Jakób się oszuka.

Raz z pod krzyżów u mogiły
Pan bogaty jechał drogą,

Wpadł mu w oko dworek miły
Gdzie pan Jakób żył tak błogo:
Bo kto jechał przy tym dworze
Musiał zawsze napaść oko.
Pan — zadumał się głęboko,
A woźnica — drzémnął może,
Czy zagapił się nielada
Widząc dworek tak uroczy, —
Wtém z zarośli wilk wypada
I do koni obces skoczy!
Targną konie przepłoszone,
Rwą z kopyta wśród trzebieży,
Po kamieniach lecą w stronę —
I już powóz w rowie leży!
Zkąd się tutaj wilk miał dostać
Blizko dworka, w dzionek biały?
Czy wziął szatan wilczą postać?
O tém wieści zamilczały.

A pan Jakób przez swe płoty
Wszystko widział; w tejże chwili

Huknął ludzi od roboty
I z pomocą pośpieszyli;
Jedni biorą wóz podnosić,
Drudzy konie wyprządz żwawie;
A że było szkody dosyć,
Pomyślano o naprawie.
Na dziedziniec powóz toczą,
I pan Jakób, jak go znacie,
Prosił pana tak ochoczo,
Aby raczył spocząć w chacie
I odwiedzić gospodarzy
I przekąsić co Bóg zdarzy.
Póki kowal oś okowa,
Póki czeladź wóz naprawi,
Piękna pani Jakóbowa
Pogadanką gościa bawi,
W jéj rozmowie trafne zdanie,
Rozum, dowcip i swoboda,
I zaprasza na śniadanie, —
A śniadanko — ust nieszkoda:
Choć to skromnie, ale świetnie,

Jabłek, gruszek, śliw dosyta,
A wędlinka smakowita,
A nalewki kilkoletnie;
A przy żłobie już tam sobie
Owies, sianko w brod dla koni,—
Słowem Jakób się niepłoni
Na szlacheckiéj swéj chudobie.
Powóz gotów w jednéj chwili,
Żegna gość mieszkańców chaty,
Chciał im płacić — odrzucili
Piękne słówka i dukaty.
Bo wiedzieli ludzie prości,
Co się godzi, co niegodzi:
Za spełnienie powinności
Chyba Pan Bóg wynadgrodzi.
Gość rozrzewnion w głębi ducha
Chce pamiątkę dać jakową;
Ale Jakób w jedno słowo
O nagrodzie ani słucha.
Oto szatan zręcznie dosyć
Ostateczny kruk zahaczył:

Gość szlachcica począł prosić
Że pamiątkę przyjąć raczył,
Nie w nagrodę jego czynu,
Lecz gościny co doznawał,
Dał mu bilet... świstka kawał
Na Loterję do Londynu.

Jakób przyjął: bo niewiedział
Co znaczyła owa karta,
Niepojmuje, że w niéj siedział
Cały orszak pokus czarta,
Co zawrócić jemu głowę,
Co mu serce spsuć gotowe.
Ani mu się śni o zdradzie;
Przyjąć kartkę grzeczność każe,
Spójrzał na nią — i gdzieś kładzie
Między stare kalendarze.

Dwa miesiące już uciekło
Kartka leży u Jakóba,

W któréj było całe piekło,
W któréj była jego zguba;
Lecz on w pracy nic niemarzy,
Gospodarka idzie cudnie.
Raz powrócił od żniwiarzy
A to było już południe,
A po kilku dniach pluchoty
Miał zaległych robot nieco,
Ledwie błysnął dzionek złoty
Gospodarze w pole lecą;
Więc znużeni i weseli
Do obiadku już się biorą.
Wziął pan Jakób zraz pieczeni
I odkroił chleba sporo,
I zdaleka sam zasiada
Na ławeczce patrząc w okno,
I ciekawie chmurki bada
Czy mu kopy niepomokną?
Czy ochoczy rój czeladzi
Do stodoły je pospycha?
Wtém ktoś jedzie — co u licha!

Żyd na chudéj szkapce sadzi;
Chłosta biczem chudą szkapkę,
Kolanami w bok ją wali!
Wiatr mu z głowy zrzucił czapkę,
On zawzięcie pędzi daléj;
Urwał w bramie płaszcz kawałem,
Lecz i na to nic niebaczy;
Przez dziedziniec pędzi cwałem
A przed gankiem— upadł z klaczy.
Już pan Jakób przelękniony
Miał wyjść spytać, co się święci?
Lecz Żyd wpada bez pamięci
I wymierza mu pokłony,
I słów grzecznych szereg długi
Sypie przed nim coraz słodziéj:
I pan jasny i dobrodziéj
I serdeczność i usługi,
I wylicza jego cnoty,
A pochlebstwom końca niéma.
A pan Jakób aż się zżyma:
Bo mu pilno do roboty.

Ku stodole zwrócił oczy:
Bo tam wiozą kopę żyta; —
Jednym razem żwawo skoczy
I za kołnierz gościa chwyta,
Stuknął kijem, drzwi otworzy;
I wypycha w strasznym gniewie...
Żyd aż struchlał: bo sam niewié
Za co Jakób tak się sroży?
Zkąd pochodzi bieda cała:
Ledwie dostrzegł aż na dworze:
Jego szkapa wygłodniała
Gdy samopas bujać może
Do ogródka wpadła żywo
Deptać grzędy i warzywo.
Ujął konia w jednéj chwili
I uwiązał przy ogródku,
I z pokorą, pocichutku,
Do komnaty znów się chyli.
Już pan Jakób szedł na niwę
Odżyć ruchem poobiednim
Gdy znów widmo natarczywe

Z ryżą bródką stoi przed nim.
Jakób groźnie go odpycha,
Stuka w pomost swą czeczotką,
Lecz przybylec — co u licha! —
Garścią na stół sypnął złotko.
Wolski krzyknął: „Zkąd te grosze?"
Lecz Żyd drżący gdyby listek
Rzekł z ukłonem: „Bardzo proszę,
„To jest pański pieniądz wszystek."
—„Jaki pieniądz?" Jakób spyta;
Ale Żydek znów się kłania:
—„Bierz pan tylko, bierz i kwita
„Do przyszłego zrachowania, —
„Za te wszystkie imperjały
„Pan niebędziesz nic mi dłużny,
„Oddasz tylko świstek mały,
„Co zostawił graf podróżny.
„Będzie temu dwa miesiące,
„Pan pamiętać musi przecię,
„Gdzieś tu w polu, czy na łące
„Jemu pękła oś w karecie..."

Jakób odrzekł: „Mniejsza o to!
„Waść niezgorszą dajesz zmianę:
„Za papierki malowane
„Pełną garścią sypiesz złoto!"
Aż się iskrzył wzrok Jakóba,
Już po kartkę żwawo idzie,
Lecz pomyślał: „Ho! w tym Żydzie
„Jakaś musi być rachuba!
„My, zwyczajnie, ot ludziska,
„Hreczkosieje, prości, ślepi;
„Cenę kartki zna on lepiéj
„I zapewne na niéj zyska!"
Ale Żydek swą wymową
Tak mu zręcznie zamglił oczy,
Że pan Jakób był ochoczy
Oddać kartkę papierową.
Przywołana tu niewiasta
Już przelicza imperjały,
Po papierach już się szasta,
I znajduje świstek mały.
Żyd podrasta aż do góry

Błogosławi swéj fortunie...
Wtém zła wróżba pada z góry:
Xiądz na wózku swym się sunie.
Żyd pobledniał, struchlał w myśli,
I plebana posłał w piekło,
I obliczył jak najściśléj,
Że mu szczęście dziś uciekło;
Smutnie drapie się po głowie
I boleśnie głową ruszy,
A plebana małżonkowie
Powitali z całéj duszy.
Xiądz wysłuchał, bada, pyta,
I żydowskiéj doszedł baśni,
Potém kartkę sam przeczyta,
Potém całą rzecz objaśni:
Że to skarb jest miljonowy,
Że się wkrótce na coś przyda.
Usłuchano jego mowy
I wypchnięto za drzwi Żyda.

Zachowano kartkę szczerze,
Aż do końca całéj sprawy,

Aż wiadomość się odbierze
Z Częstochowy lub Warszawy.
Prędko doszło grzmiące echo
Duch kusiciel w myślach ożył:
Pod spokojną świętą strzecho
Już mieszkanie swe założył.
Chwast próżności w ich mieścinie,
W skromnych sercach zakwitł żyznie:
Bo pan Jakób aż w Londynie
Wygrał miljon w gotowiźnie.

Tu narady, tu już plany
Jęli roić ludzie prości:
Czy dom kupić murowany?
Albo ziemskie posiadłości?
Cząstka musi być użyta
Na szpitale, domy Boże..
Już pan Jakób siebie pyta:
Czy starostą być niemoże?
Jakóbowéj teraz zda się
Strój dzisiejszy nie do twarzy,

O korunkach jéj się marzy
Axamitach i atłasie,
Strój z brylantów i ze złota
Już w jéj oczach wciąż migota.
Aż xiądz pleban sługa Nieba
Dał naukę im z pokorą:
Jaki ciężar na się biorą,
Jak olbrzymich sił potrzeba,
Jako nieraz skarb bogaty
Przywiódł duszę do zatraty,
Że ofiarę jakąś świętą
Trzeba Bogu dać na nowo.
W dobrych sercach mądre słowo
Usłuchano i przyjęto:
Bo widzieli rękę Bożą,
Jak ich darzy szczodrobliwie,
Jak dostatki im się mnożą
I pod strzechą i na niwie,
Z chlubnym potem na swém czole
Nigdy nędzy niewidzieli,
Jak na smutnym łez padole

Byli zdrowi i weseli,
Jak im każdy cel ich łatwy,
Jak pociechę mają z dziatwy.

Bóg na serca spójrzał wierne,
Piękny zamiar w nich zaświtał,
Aby cały swój kapitał
Dać na cele miłosierne.
Ale szatan znów cóś liczy,
Znów pogląda cóś złowrogo,
I dawniejszą idąc drogo,
Stawi sidła swéj zdobyczy.
Znów toż samo przedsiębierze: —
Jakiś powóz łamie w lesie;
A pan Jakób w dobréj wierze
Znów podróżnym pomoc niesie.
A nim powóz się naprawi,
Póki kowal oś okowa,
Znowu pani Jakóbowa
Postaremu gości bawi.
Lecz tą razą zamiast pana

Jakąś damę los przynosi;
Swietna, strojna, wymuskana,
Ale gdzie jéj do gosposi?!
Na jéj postać, na jéj szaty
Obróciła wzrok niewiasta:
Ubiór wprawdzie niebogaty,
Lecz gustownym krojem z miasta,
Że przybyło i urody
I zaświtał powab młody.
Jak od wróżki, od bogini
Wieje z gości blask uroczy,
I wrażenie takie czyni,
Że gosposia spuszcza oczy;
A choć czuje, że piękniejsza,
Że jest świeższą, że jest młodą.
Ale wdzięków jéj umniejsza
Skromny ubior wiejską modą.
Myśli sobie: „Czy ja we śnie?
„Zkąd ten urok, mocny Boże?"
Poniżenia znieść niemoże,
Zadumała się boleśnie,

Jakiś zawrót przyszedł do niéj,
Coś jéj szyki miesza w głowie —
To zamilknie, to się spłoni,
To nietrafnie coś odpowie.
Myśl dręcząca niespokoju
Wiankiem cierni ją opasze:
„Jam piękniejsza — w inszym stroju
„Jasną panię łacno zgaszę;
„Roje panów zbiorę tłumnie,
„Wszystka młodzież przyjdzie ku mnie;
„Będą wielbić moje oczy
„Niezliczeni hołdownicy;
„Mnie okrąży, mnie otoczy,
„Mnie upoi gwar stolicy."
Takie myśli niespodzianie
Po jéj głowie w lot przelecą.
Daj próżności folgę nieco
A obaczyż co sie stanie!
Szatan szepce: „Użyj skoro
„Czasu, grosza i młodości,
„Niech twe wdzięki hołd odbiorą,

„Niechaj każda ci zazdrości.
„Do Warszawy! do Warszawy!
„A gdy błyśniesz w modnéj szacie,
„Będzie lecieć tłum ciekawy
„Byle tylko spójrzeć na cię!"
Ale obok téj podmowy
Jeszcze anioł w serce puka, —
Stanął w myśli Jakóbowéj
I xiądz pleban i nauka;
Zrozumiała, że ją nęci
Droga grzechu, błędna, ślizka,
Że tam dusza mimo chęci
Błogich pociech niepozyska.
Lecz jéj szatan w tęże chwilę
Czarną zawiść w serce dmucha,
I zbawienne myśli ducha
Uleciały jak motyle.

Było z gością małe dziecię,
Córka smagła, brzydka, chuda;

(Wszak to często bywa w świecie,
Że potomstwo się nieuda).
Cóż przy dziatwie Jakóbowéj?!
Chłopcy były jak cheruby,
A tu suchar żytni gruby
Obok babki biszkoptowéj!
Oni sobie chociaż prości
Kwitli zdrowiem, życiem, siłą;
Lecz się wszystko w małéj gości
Pięknym strojem naprawiło.
Gdy gosposia stawi jadło
Szatan trącił w jéj talerze,
Parę gruszek pod stół spadło —
Gdy je gościa z ziemi bierze,
Starszy synek gospodarza,
Chcąc je podnieść na pomoście,
Leci pędem — nieuważa
I potrąca małą gościę.
Matka patrzy nań surowie,
Chłopczyk skraśniał jak w ukropie,

Wtém ze wzgardą gościa powie:
„Fi! to jakieś dziecko chłopie!"

Małe dziéwczę samo niewie,
Że piekielne siły ruszy.
Jakóbowa w strasznym gniewie
Pokraśniała aż po uszy;
Już w niéj zemsta się wylęgła,
Duch piekielny wygrał walkę:
Na zbawienie poprzysięgła,
Że pognębi swą rywalkę,
Że ją zaćmi w swéj wielkości
Choćby zginąć nad otchłanią —
Jedném słowem, na złość gości
Że zostanie wielką panią.

Próżno Jakób wąsy targa,
Exorcyzmy pleban gada,
Niepomogła żadna rada,
Gniew, wymówka, płacz i skarga.

Mąż daremnie rzuca słowa,
W argumentach się wytęża;
Zagroziła Jakóbowa,
Że porzuci pana męża,
Że dla dzieci ma uczucie,
Że obelgi znieść niemoże,
Że się zamknie na pokucie
W Benedyktynek klasztorze.
Czuł pan Jakób, co jest władza,
Przekonywał upor żony;
Lecz na końcu zwyciężony,
Już na wszystko sam się zgadza.

Wziął zwycięztwo szatan pychy,
Nienagaban od nikogo.
Sąsiad kupił dworek cichy,
Gdzie pan Jakób żył tak błogo,
Gdzie mu tyle chwil ubiegło,
Gdzie go samo Niebo strzegło,
Gdzieby w świętéj żył swobodzie,
Gdyby uszedł piekieł matni.

Jakób rzucił wzrok ostatni
Po swych morgach, po ogrodzie,
Łzą pożegnał każdy kątek.
A gdy przyszło jechać w drogę,
W nowém życiu na początek
Godny pleban dał przestrogę; —
W swoim domku, sługa Boży
Próżno gadał z głębi łona,
Ślepych oczu nieotworzy,
Głuchych uszu nieprzekona;
A postrzegłszy, że w uporze
Żadna rada nieusłuży,
„Jedźcie — mówił — w Imie Boże!"
I przeżegnał do podróży.

Odtąd oni na téj ziemi
Wiele przygod doświadczyli.
Czyż pośpieszym w ślad za niemi,
Czytelnicy moi mili?

Och! czyż Niebo nam pozwoli
Znów się spotkać z błogim rajem?
Z męztwem w doli i niedoli?
Z patryarszym obyczajem?
Nie! dziś dla nich insza ścieżka,
Całkiem dola ich się zmienia:
Bo w ubóztwie Pan Bóg mieszka,
A we złocie — wróg zbawienia.

STARY ŻEGLARZ.

(z Coleridge.)

Na ucztę godową śpieszyli trzéj goście,
Gdzie czeka wesoła drużyna.
Wtém żeglarz sędziwy spotkał ich na moście,
I długo coś gwarzyć poczyna.

I z gości jednego za rękę już bierze,
By słuchał żeglarskiéj przygody.

„Puść, starcze... ja śpieszę, już dają wieczerzę;
„A moim jest krewnym pan młody."

Gość mówił — lecz ręki nie pozbył się starczéj,
Napróżno natręta odgania:
„Idź precz', stary głupcze! mnie czas niewystarczy,
„Bym słuchał twojego bajania!"

Lecz żeglarz brzydkiemi nie zraził się słowy;
Zmierzył go oczami silnémi —
Zmięszany jak dziecko biesiadnik godowy
Pokorny wzrok spuścił ku ziemi.

Na ławie kamiennéj, co stała w ustroni,
On usiadł zajęty widocznie,
A żeglarz sędziwy łzę gorzką uroni,
I bajać przygody swe pocznie:

* * *

— „Podjęto kotwicę — fregata odpływa,
Po sinéj kołysze się fali,

Wybrzeże i kościół i wzgórek i niwa,
Maleją i nikną w oddali.

Dni płyną za dniami — od lewéj wciąż strony
Żeglarze wschód słońca widzieli,
Co wieczór na prawo krąg jego czerwony
Zapadał w bezdennéj topieli.

A codzień w południe rozpala się, żarzy
Goręcéj od chwili do chwili;
Skwar wisi nad masztem, nad głową żeglarzy:
Otośmy pod równik przybyli.

Zjawił się huragan i burza szalona
Jak gdyby skończenie dni świata,
Ku stronie południa jéj szturmem pędzona
Zbłąkała się nasza fregata.

W bok okręt odpływa pomimo sternika;
Po czarnéj kołysze się toni,

I pędzi jak strzała, jak gdyby umyka
Od jakiejś niewidnéj pogoni.

Schyliwszy w bok maszty, wydąwszy swe żagle,
Wśród ciemna, wśród burzy ze świstem,
Ku stronie południa pomyka się nagle,
Mocuje się z morzem pienistem.

Wtem ocean cały mgły gęste pokryły,
A fale mróz ścisnął przemocą;
I śniegów i lodów kołyszą się bryły,
Iskrami promiennie migocą.

Jak oko obejmie bez końca, bez granic,
Zamarło oblicze przyrody,
Za nami, przed nami niewidać nic a nic,
Jak tylko śnieżyska i lody.

Okropny był widok... strach serca nam ściska,
A każdy się modli, ślub czyni,

Gdy trąc się i łamiąc lodowe urwiska
Gruchocą jak piorun w pustyni.

Lecz słuchaj... w mgle ciemnéj— czy oko nie mami.
K'nam morski Albatros przylata;
Jak zwiastun zbawienia okrążył nad nami; —
Witaliśmy ptaszka jak brata!

On zbratał się z nami — szedł prosto do ręki,
Usiadał na naszym pokładzie.
Wtém lody puściły i Bogu już dzięki
Nic tamy żegludze niekładzie.

Przy wietrze z południa płyniemy na nowo,
A ptaszek nam w ślad towarzyszy,
Zwija się wśród żaglów ulata nad głową,
Spuszcza się gdy głosy posłyszy.

Tak we dnie dodając otuchy, zabawy,
Nocował na masztach, nademną,

Widzieliśmy ptaszka, gdy xiężyc bladawy
Choć trochę rozwidni mgłę ciemną.—

—„Tyś zadrżał, żeglarzu? cóż daléj niegwarzysz?
„Co ci jest?" — Ja zbrodnię zdziałałem:
Nasz wierny Albatros, opiekun, towarzysz,
Legł moim przeszyty wystrzałem.

II.

I smutno na morzu, jak gdyby w mogile
Twarz słońca posępna i blada
Z za kłębów mgły ciemnéj zaświeci na chwilę,
I znowu w głąb' morza zapada.

I wiatr południowy znów żagle rozdyma,
Znów płynie posępna fregata,
I wszystko tak samo; lecz stróża już niéma
Albatros nad masztem nielata.

Po zbrodni zgryzotę Bóg zawsze przysyła:
Jam zbrodniarz — mówiło mi serce.

„Tyś szatan! piekielna niech skarze cię siła:
„Tyś zabił ptaszynę, co wiatr wywróżyła!"
Tak klęli żeglarze mordercę.

Lecz Bóg się zlitował — po długiéj katuszy
Zaświtał dzień dłuższy, jaśniejszy;
U moich współbraci weseléj na duszy,
I moje przekleństwo się zmniejszy.

Mówiono — gdym przyszedł do zgody powoli:
„Ej miałeś ty słuszność, nieboże!
„Albatros przeklęty był sprawcą niedoli,
„Sprowadził mgły gęste na morze!"

A fala wiruje, a leci fregata,
Szybuje pełnemi żaglami, —
Na morzu tameczném, na końcu już świata,
Niepływał nikt pewno przed nami.

Wiatr ustał... fregaty już nic niekołyszy
I żagle na masztach powisły.

Nastały dni straszne spoczynku i ciszy,
Najcichszy głos ludzki wyraźnie się słyszy,
A trwoga przebiegła umysły.

Na niebie lśni barwa ponura, miedziana,
Przeraża widokiem zjawiska,
A kula słoneczna krwią zda się nalana
Czerwone promyki wytryska.

W piekielnych męczarniach dzień po dniu nam świta —
Cisz martwa na całym przestworze —
A nasza fregata stanęła jak wryta,
Doczekać się wiatru niemoże.

Nic wkoło niewidać... wciąż fala i fala;
Niewytrwać znojnego gorąca;
Mordercze pragnienie wnętrzności rozpala,
Choć woda fregatę potrąca.

Porosty i zielska pływają po wodzie,
Pleśnieje mech jakiś zielony;

Na fali zgęstniałéj i okręt i łodzie
Obsiadły robactwa miljony.

Po nocy migają błędliwe ogniki,
Jak gdyby mamidła szatana,
A połysk tych świateł straszliwy i dziki
Swawoli po morzu do rana.

I śni się żeglarzom upadłym na duchu,
Że szatan igraszkę z nas czyni,
Że naszę fregatę na krzepkim łańcuchu
Przykował do martwéj głębini.

Pragnienie osusza i usta i gardło,
Sprawuje męczarnię nieznaną,
A w piersiach spalonych wołanie zamarło,
I usta zapiekły się pianą.

I starzy i młodzi i wszystko co żyje
Przybiegli mój wyrok ogłosić:

Trup ptaszka, com zabił — czepiając na szyję
Kazali na piersiach mi nosić.

III.

Dzień po dniu stoimy czekając za zmianę,
A piersi osuszył skwar spiekły,
Głos w piersiach zaniemiał, a oczy jak szklane
Śmiertelnym się matem powlekły.

Dzień po dniu upływa... wtém zdala w błękicie,
Gdzie z niebem ocean się spływa,
Coś zda się mignęło... do serca jak życie
Wstąpiła otucha szczęśliwa.

Z początku jak plamka, jak chmurka biaława,
Przybliża się, rośnie i rośnie;
Już białym obłokiem wyraźnie się stawa,
I ku nam szybuje ukośnie.

Jak widma czyscowe, gromada żeglarzy
Snuje się nieczuła i głucha;

Ostatni rumieniec ucieknął nam z twarzy,
A z serca ostatnia otucha.

Zamarły mi piersi, gdym los nasz szczęśliwszy
Chciał biednéj zwiastować drużynie.
Ugryzłem się w rękę... krwią usta zwilżywszy,
Krzyknąłem: że okręt k' nam płynie.

I wszyscy na pokład gromadzim się, kupim,
Z radości oszaleć się zdajem,
A z oczu, co blaskiem migały już trupim,
Łzy hojnym trysnęły ruczajem.

Patrzajcie! jak leci... jak pęd jego żywy!
Dziś nasze męczarnie się skończą!
Lecz oczy nie mylą... o cóż to za dziwy!
Bez wiatru żegluje tak rączo!

Lecz promyk nadziei, co błysnął nieśmiało,
Przyświecił — i zgasnął po chwili,

I zimnem grobowém znów serce zdrętwiało,
Głowy-śmy jak na śmierć spuścili.

Dni płyną powoli... co wieczór, co rana
Jutrzeńka płomieni się złota,
A kula słoneczna krwią zda się nalana
Czerwonym promieniem migota.

A nasza fregata wśród martwéj przestrzeni
Bez ruchu, bez iskry nadzieje,
Wśród dziwnych igraszek promieni i cieni,
Piętrzy się, wyrasta, czernieje.

A maszty olbrzymio wystérkły nad falą,
Jak gdyby rząd cieniów ponury,
Jaskrawym odblaskiem czerwienią się, palą,
I żagle i liny i sznury.

I znowu cóś widzę... czy morskie to dziwa?
Czy widmo z urojeń odmętu?

Po fali drzemiącéj cóś ku nam podpływa —
To szkielet jakiegoś okrętu.

A wszystkich w okręcie sen objął grobowy,
Nikt żywy na nim się nieruszy,
Niesłychać ni szmeru ni żadnéj rozmowy —
Czyż niéma człowieczéj tam duszy?

Lecz oto postrzegam: na pokład wypada
Niewiasta w grobowéj odzieży,
Jak widmo ponura i straszna i blada,
Na widok aż włos mi się jeży.

A przy niéj któś drugi... spogląda jak żmija,
Spójrzenie jak ogień mu pała,
Aż duszę przytłacza, aż serce przebija,
Źrzenica błyszcząca, skostniała.

Co znaczy ten szkielet bez ciała przykrycia,
A przy nim ten drugi duch blady?

Dwa duchy złośliwe i śmierci i życia
Płynęły do naszéj osady.

Ich okręt k' naszemu przypłynął w téj chwili,
Pokłady zetknęły się z boku,
Duchowie stanęli i losy rzucili,
My drżący czekamy wyroku.

Los na mnie cisnęli — Duch życia kość miota,
Wyciągnął kość z dobrą otuchą:
„On do mnie należy — nie straci żywota!"
I śmiał się szyderczo a głucho.

Zagasnął blask dzienny, noc smutna zapadła,
Na niebie jutrzenka zciemniała,
A szkielet okrętu niosący widziadła
Odpłynął pospiesznie jak strzała.

Zwątpienia rozpaczy nam serce obsiadły,
Nastały godziny męczarni.

Nasz sternik u rudla znękany wybladły,
Siadł milcząc przy małéj latarni:

I gwiazdy zabłysły i xiężyc z topieli
Swą głowę czerwoną wychyla,
Żeglarze gotowi już na śmierć stanęli:
Bo straszna zbliżyła się chwila.

A cała załoga żeglarzów ze dwieści
Na pokład wywlekła się tłumnie,
A wszystkie spójrzenia z przekleństwem boleści
Straszliwie zwracały się ku mnie.

I jeden po drugim nieszczęśni skonali —
Słyszałem ich jęki grobowe!
Jam został przy życiu, by dręczyć się daléj,
By przyjąć przekleństwo na głowę.

IV.

—„Straszno mi z tobą, żeglarzu stary,
„Ognia twych źrzenic nie mogę znosić:

„Masz dziką postać grobowéj mary;
„Twojéj powieści już mam zadosyć;
„Puszczaj mię, starcze!"
—„Niebój się bracie!
Niejestem trupem ni widmem senném,
Niezatonąłem w morzu bezdenném,
Zostałem jeden w całéj fregacie,
Zostałem jeden na całe morze
Czekać na słuszny zgon zbrodniarzowi,
Gdzie nikt mi oczu zamknąć nie może,
Gdzie nikt pacierza po mnie niezmówi.
Wokoło życie:— spójrzę w głębinię
Tysiącem istot aż kipi fala;
Spójrzę na pokład — tu śmierć jedynie.
Wszędy stos trupów drogę zawala.
Spójrzę ku górze, gdzie maszty sterczą
Kędy bez wiatru żagle powisły,
Chciałbym się modlić, lecz duch bluźnierczy
Zmroził mi piersi, odurzył zmysły.
Znosić męczarni niemogąc daléj,
Gdy zamknę oczy wciąż mi się marzy

Błękit niebieski, równina fali
I stosy trupów biednych żeglarzy.
A twarze trupów, groźne, złowieszcze,
To posiniałe, to z barwą bladszą,
Strasznie ich oczy otwarte jeszcze
Z groźném przeklęstwem na mnie się patrzą.
Ciężki mieć musi kamień na duszy
Kogo sieroca przeklnie drużyna;
Ale boleśniéj wytrwać w katuszy,
Kiedy spójrzenie trupie przeklina.
Siedém dni trupy patrzały we mnie
Siedém dni śmiercim błagał daremnie.
Lecz oto xiężyc wschodzi z oddali
Przy nim rój nocnych gwiazdek połyska,
Po modrém niebie, po modréj fali
Zamigotały drobne ogniska;
Po nad równiną jakby śniég lata,
Srebrzą się, gorą żwawe promyki,
A tu gdzie stoi martwa fregata
Błyśnie to zgaśnie meteor dziki;
Jakby się pastwiąc nad mą niedolą

Krwawym połyskiem źrzenice muska.
Dokoła węże morskie swawolą,
Mieni się, złoci srebrna ich łuska —
Szczęśliwe żmije!! potysiąc razy!
Czułem, że zazdrość serce mi bodzie —
Zacóż, mój Boże, te podłe płazy
Mogą się pluskać w rodzinnéj wodzie?
I w duszy mojéj znów się ocknęła
Święta modlitwa i miłość Boża,
Wielbiłem Stwórcę patrząc na dzieła,
Kląkłem u tronu jego podnóża.
A gdy modlitwa jak święta rosa,
Skalaną grzechem duszę obmyje,
Upadł do morza trup Albatrosa,
Co uczepiono na moję szyję.

V.

I sen posilny ożywił w porę
Duszę znękaną i ciało chore
Przecie poczułem, że żyję;

Modlitwą rzewną i łzą rzęsistą
Począłem wielbić Pannę przeczystą
Matkę boleści — Maryję.

Spałem — a piersi tchnęły swobodą;
Śniłem, że widać brzeg ziemi,
Sterniki okręt bezpiecznie wiodą
I stoją stągwie ze słodką wodą —
Ja piję pierśmi pełnemi.

Wtém się ocykam — patrzę: deszcz leje,
Poglądam w około ciekawie,
Do serca weszły słodsze nadzieje,
I piłem wodę na jawie.

Śmieje się, płaczę, sobie niewierzę
Czy jeszcze żyję... czy płynę...
Czy może dusza w nadziemskiéj sferze
Ku swemu Stwórcy kierunek bierze
I leci w duchów krainę.

Zaszumiał wietrzyk — morze oddycha,
Skończył się spokój ponury...
Zdaje się wieje zdaleka, zcicha,
Jednak fregatą waha, kołycha,
Zadrgały liny i sznury.

Żagle powoli wzdymać się poczną
Wieją z szelestem, ze świstem,
Xiężyc się ukrył w chmurę obłoczną,
A chmura w stronę okrętu boczną,
Lunęła deszczem rzęsistym.

I błyskawica jak wąż z oddali
Mignęła z głębi przestworza,
Zdaje się niebo i woda pali,
Piorun przeleciał nad garbem fali,
I z gromem buchnął do morza.

Piorun po chmurze gzygzaki pisze,
Grzmoty łoskocą w przestrzeni —

Fregata leci — cóż to ja słyszę?
Stękają trupy!! czyż towarzysze
Byliby ze snu zbudzeni?

Jakby poranna bije godzina,
Powstali ze snu ocknięci,
Każdy robotę swą przypomina,
Jeden na maszcie żagle rozpina,
Drugi powrozy rozkręci.

Snują się cicho jak widma w bieli,
Lecz cóż się dzieje z ich duszą?
Wszyscy w milczeniu usta zacięli,
Żaden na stronę okiem niestrzeli —
Snadź to upiory być muszą!

Tu było jedno drugie oblicze,
Syn mego brata jedyny,
Próżno doń mówię, daremnie krzyczę,
On milcząc, jakby widmo zwodnicze,
Naciąga sznury i liny..."

—„Straszno mi, starcze! niemów mi więcéj,
„Puszczaj mię duchu z otchłani!"
—„Niebój się, bracie! słuchaj goręcéj:
Bo to nie widma, nie potępieńcy,
Lecz byli Pańscy wybrani.

Jutrznianym blaskiem opromienieni,
Wokoło masztu stanęli,—
Słucham... z pośrodka skupionych cieni
Niebiańskie hymny płyną w przestrzeni,
Jakby śpiewali anieli.

Hymn, który wtedy z ust ich słyszałem
Wiecznie do Niebios przywabi.
Pomimo burzy kipiącéj szałem,
Pieśń królowała nad morzem całém,
Płynęła głośniéj to słabiéj.

To jakby z chmury na rozświt dzionka
Sto ptasząt wiedzie swe trele,

To jakby strumień w kamykach brząka,
To jakby rzezwy szczebiot skowronka
Po nad falami się ściele.

To się rozpływa, to chórem splecie
Coraz donośniéj i słodziéj,
Jakby szczebioce niewinne dziecię,
Jakby na harfie, albo na flecie,
Ktoś dźwięcznéj nóty dochodzi.

Ucichły śpiewy, pobiegły tony
K' dalekiéj niebios krawędzi —
Lecz siłą duchów okręt popchniony,
Płynie pod wiatrem w dalekie strony,
Daléj a daléj wciąż pędzi.

Ale duch morski strony polarnéj,
Znowu za rudel pochwyta,
Pęd się zatrzymał w pośród mgły czarnéj —
Chwytam się rudla... wysiłek marny...
Fregata stoi jak wryta!

A ręka silna duchów — mocarzy
Wstecz ją zawraca, popycha —
Płyniem pod równik, gdzie zgon żeglarzy,
Gdzie krwawe słońce ogniem się żarzy,
A niebo skwarem oddycha.

Znów stanął okręt — pali spiekota,
Znowuśmy w ciszy zagrzęźli;
Słońce, jak gdyby żywa istota,
Skacze po niebie, targa się, miota,
Jak gdyby rumak na trężli.

Krew' mi gorąca zalała skronie,
A pulsa biją jak fale,
A biedna głowa pali się, płonie,
Czułem, że mdleję, że się posłonię,
Że się na pomost powalę.

VI.

Niewiem czy długo tak bezprzytomnie,
Leżałem jakby umarły...
W tém dziwne głosy słyszę koło mnie,
Co się do ucha przedarły.

Jeden głos mówił, dobrze słyszałem:
„Przypatrz się bracie téj twarzy,
„Czy to pod jego zabity strzałem
„Albatros ptaszek żeglarzy?

„Silny duch morski polarnéj strony,
„Tak lubił drobnego ptaszka!
„Srogi morderca będzie zemszczony:
„Bo straszna z duchem igraszka."

—„Duch jeszcze zemstę ku niemu chowa,—
Drugi głos na to odrzecze:

„Kara straszliwa, kara surowa,
Cięży na tobie, człowiecze!"

Głos pierwszy.

„Powiedz mi bracie, czemu śpi morze,
„Kiedy dni ciszy się skończą?
„Czemu fregata po fal przestworze
„Spieszy na północ tak rączo?"

Głos drugi.

„Jako niewolnik, co pana słucha,
„Pełni w milczeniu swe straże,
„Tak fala morska nim się rozrucha,
„Czeka skinienia Wiecznego Ducha
„Dokąd popłynąć jéj każe."

Głos pierwszy.

„Ale dla czegoż gdy fala cicha,
„Tak szybko płynie fregata?"

Głos drugi.

„Bo siła duchów rudel popycha,
„I jéj żaglami pomiata."

Głos pierwszy.

„Lecz dajmy pokój błędnéj fregacie,
„Niebudźmy ze snu tych ludzi,
„Lećmy ku gwiazdom, lećmy, mój bracie,
„Wkrótce się jutrznia obudzi."

I jam się ocknął — my wciąż płyniemy,
Żeglarze znowu strupieli,
Przy masztach orszak głuchy i niemy,
Legł na śmiertelnéj pościeli...

Jedni u masztów, drudzy u rudli,
Każdy zakostniał jak skuty,

Wszyscy zsiniali, bladzi, wychudli,
W ich oczach ciężkie wyrzuty.

W pośrodku trupów, jak duch sierocy
Snuję się jeden i trwożę,
Jako wędrownik kiedy wśród nocy
Zabłądzi w leśne bezdroże;

Pędzi gdzie wiedzie przeczucie wieszcze,
A zbójcy lecą tuż za nim,
Straszno iść naprzód, lecz straszniéj jeszcze
Kiedy się cofniem lub staniem.

Lecz oto słońce nietyle skwarzy,
Wietrzyk zadmuchnął do koła,
Czułem jak gdyby po mojéj twarzy
Musnęło skrzydło anioła.

A bieg nasz równy i jednakowy
Po nad cichemi odmęty,

Jakby po gładkiéj szybie lodowéj
Ślizgał się okręt popchnięty.

A tu sny piękne, a tu sny świeże
Igrają z memi oczyma,
Widzę zdaleka ziemne wybrzeże,
Latarnia morska przystani strzeże —
To moja ziemia rodzima!

Oto kościołka dzwonnica stara,
Tam moja chatka na smudze...
Boże mój, Boże! jeśli to mara
Niechaj się nigdy niezbudzę!

To nasza przystań — o jak tu pięknie!
Na brzegu bawią się dzieci.
Oto się zaraz chmurka rozpęknie
A xiężyc widniéj zaświeci.

Zaświecił xiężyc — o góry moje!
Jak rozjaśniacie swe czoła!

Jak cudnie biją światełek roje
W wieże naszego kościoła.

W rodzinnym porcie u krańca głębi
Sama stanęła fregata,
A z ciał nieżywych, jak rój gołębi
Duch ku niebiosom ulata.

A każda dusza jasna, gwiazdzista,
Przy każdéj Pańscy anieli,
Ręce na piersiach, twarz uroczysta,
Znaczno, że w Panu posnęli.

O! niewypowiem jak było błogo!
Już mi sen powiek nieklei,
Piersi uczuły że wytchnąć mogą,
Dusza zabójczą miotana trwogą,
Znowu odżyła w nadziei.

Jenom się lękał, że mara słodka
Znowu w kraj senny ucieka:

Lecz oto widzę: podpływa łódka,
Na niéj postaci człowiecze.

Gdy dusza świętą radością pała,
Drżąc, że się ze snu obudzi,
Podpływa łódka — pędzi jak strzała,
A na niéj siedzi trzech ludzi.

Młody parobczak wiosłem zajęty,
Przy nim dwaj siedzą starcowie:
Rybak... a drugi pustelnik święty,
Bo naród świętym go zowie.

Znam jego postać, znają sąsiedzi,
Mieszka w dolinie pod wioską,
Naucza wiary, słucha spowiedzi
Wlewa pociechę ojcowską.

O! szczęście; szczęście Bóg mi nadarza:
Starzec odpuści me winy,

On zdoła obmyć ręce zbrodniarza
Ze krwi niewinnéj ptaszyny.

VII.

Klecona z chróstu samotna i dzika,
Do skał przyparta chata pustelnika.—
On w dzień pracując Najwyższego chwali,
Wnocy mu dosyć kamyka pod głowę. —

Lecz oto wiosła pluchocą w oddali
I słychać cichą rybaków rozmowę:
—„Gdzie się podziały te świetlane smugi
„Któremi była zatoka okryta?'
—„To dziwne rzeczy! — odpowie głos drugi —
„Że z téj fregaty nikt nas niepowita!"

—„Patrzaj, jak żagiel na masztach opada,
„A liny głucho skrzypią na żelezie,
„Niejużto cała wymarła osada
„A okręt samych nieboszczyków wiezie?"

—„Strach mi! aż włosy jeżą się na głowie,
„Drżącemi dłońmi nieutrzymam wiosła!"
—„Bóg z tobą starcze! — pustelnik odpowie —
„Opatrzność Pańska tutaj nas przyniosła."

Łódka podpływa... w tem — słyszę... o biada!
Rozległ się łoskot i huk tak ponury
Jakby się piekieł zatrzęsła posada,
Jakby sto gromów uderzyło z chmury,
I... na dno morskie fregata się spuści
Pożarta wirem bezdennéj czeluści.

VIII.

Zgłuszon łoskotem nic nie wiem, nie pomnę,
Jakem się ocknął na rybackiéj łodzi,
W koło spójrzenie rzucam nieprzytomne:
Łódka wiruje po szumnéj powodzi,
Nad którą jeszcze świeża piana lata,
Gdzie zatonęła nieszczęsna fregata.

Chwyciłem wiosło i całemi siły
Grzmocę po fali — łódź żwawiéj umyka.
Oczy rybaków na mnie się zwróciły,
Widziałem przestrach w twarzy pustelnika.

„Kto to? mój ojcze! — spyta rybak młody —
„Czy trup? czy szatan, co w piekło zabierze?"
Nawet pustelnik struchlał siwobrody,
Ruszał ustami, snadź mówił pacierze.
A łódka żwawo płynie po zatoce;
Ja silném wiosłem po odmętach grzmocę.

Łodź przypłynęła, pierś wolniéj oddycha,
Powietrzem lądu, gdzie rzeźwo i chłodno.
„Poczekaj ojcze!" jęknąłem do mnicha
Wysłuchaj spowiedź grzesznika niegodną;
Niechaj cię moja pokuta poruszy:
Daj rozgrzeszenie, daj spokój méj duszy!"

—„Powiedz, kto jesteś? o synu pokuty!"
Spytał mię starzec pobłogosławiwszy.

Jam zbrodni mojéj dał obraz najżywszy,
Skreśliłem wszystkie sumienia wyrzuty,
I otworzyłem duszę aż do głębi,
Wyznałem rozpacz, co mi serce gnębi.

A głos mój drżący, o mowa się miesza
Cóś tłoczy piersi z niepojętą siłą,
Gdym skończył mówić, kiedy mnich rozgrzesza,
Tchnąłem swobodniéj i lepiéj mi było;
Odtąd mię krzepi modlitwa i praca,
Lecz znów do serca tęsknota powraca.

Gdy boleść serce naciśnie ołowiem,
Idę, zaczepiam przechodniów na drodze,
Wyrzuty serca po trochu łagodzę
Gdy komukolwiek me dzieje opowiem;
Zgaduję z twarzy litościwych ludzi
W kim moja spowiedź współczucie obudzi.

Czy słyszysz, gościu, weselne rozgwary?
Ogród się pieśnią i tańcem ożywi,

I piją zdrowie zaślubionéj pary —
Jakże tam ludzie muszą być szczęśliwi!
Słyszysz jęk dzwonu? on mi przypomina,
Że już wieczornéj modlitwy godzina.

Niechaj ucztują weseli i zdrowi,
Dla mnie rzewniejsze i słodsze wesele
Gdy się spowiadam dobremu człekowi,
Lub gdy się z ludźmi pomodlę w kościele:
Tu widzę Boga w litośnéj postaci,
Tu jestem bratem chrześcijańskich braci.

Rzewniéj się modlę, goręcéj zapłaczę,
Wespół z drugimi gdy w kościele klęczę,
Gdzie przy nędzarzach modlą się bogacze,
Gdzie orszak starców i roje młodzieńcze,
A wszyscy równi: bo równe ich prawa
Gdy dziatwa ojca wspólnego wyznawa."

Wstał: bo modlitwy nadeszła już chwila,
A w oczach jego świtał spokój ducha.

Gość się zadumał i głowę pochyla,
Tak go zajęła przygoda, co słucha,
Rozważył w duszy każde starca słowo,
I już nie poszedł na ucztę godową.

Dziwna mu w myślach toczyła się wojna,
Jakby na głowę wziął ciężar nad siły;
Cała noc jego była niespokojna:
Bo się sny dziwne i straszne roiły;
Lecz gdy się głowa uspokaja chora
Ocknął się lepszym i mędrszym niż wczora.

M. Karatyński
27. V. 52

BIBLIOTEKA NARODOWA
I 36884
pocat 3
BN
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002721928